# Adam Fiala – wiersze i rysunki




Adam Fiala

Adam Fiala od czasu studiów pasjonował się prawem międzynarodowym, stąd jego twórczość nasiąknięta jest polityką.

Od lat zajmuje się literaturą, sztuką oraz muzyką (modern jazz, piosenka). Jeszcze w gimnazjum uczył się gry na fortepianie, a potem uczestniczył w studenckim ruchu kabaretowym. Pisząc latami aforyzmy nabrał oszczędności i klarowności języka. Przed stanem wojennym był popularnym autorem wielu książek prozatorskich, stan wojenny przeciął jego życie na pół. Nie czuje do nikogo urazy,  lubi Australię, gdzie mieszka od wielu lat i dobrze się w tym kraju czuje. Jego wiersze są nietypowe, o bardzo indywidualnej tematyce i spojrzeniu, są wierszowanymi mini nowelami.

**Piłki i Olimpiady**

Mam awersje

do piłek

owszem



Rys. Adam Fiala

gdy Olimpiada

nadejdzie

obejrzę trójskok

kłusowania

czyli biegi

i kaczkującą dreptaninę

czyli chód sportowy

ale przerzucam kanał

gdy zobaczę piłkę

piłki są różnej

wielkości

od wielkich

do dziwnych ćwiczeń

gimnastycznych

po nożne

ręczne

tenisowe

cricketowe

golfowe

ale jest jedna

którą toleruję

biała piłeczka

do ping ponga

**Olimpijskie kosiarki**

Od Olimpiady w Sydney

wiele się zmieniło



Rys. Adam Fiala

otwierająca uroczystość

zadziwiała świat

kosiarkami do trawy

obecnie

coraz rzadziej słyszymy

odgłosy kosiarek

bo z wodą kłopoty

trawniki

wysypują żwirem

lub czipsami

z twardego drzewa

obawiam się

że w czasie kolejnej Olimpiady

(do trzech razy sztuka)

w Brisbane

zabraknie w ogóle kosiarek

**Pytanie**

Pytanie zadane

przez przypadkowego

rozmówcę na ulicy



Rys. Adam Fiala

“skąd pochodzisz”

jest zawsze

kłopotliwe

zastanawiam się

czy odpowiedzieć prawdę

czy coś skręcić

ale myślę

że może być

jeszcze bardziej

kłopotliwa odpowiedź

na pytanie

“przybyszu

co zrobiłeś

naprawdę dobrego

dla twego

nowego kraju”

na szczęście

o to nikt nie pyta

**Kadłub wieloryba i podręcznik**

Na piękną plażę w Perth

Zachodnia Australia

fala wyrzuciła

niezbyt piękny

kadłub

martwego młodego

wieloryba

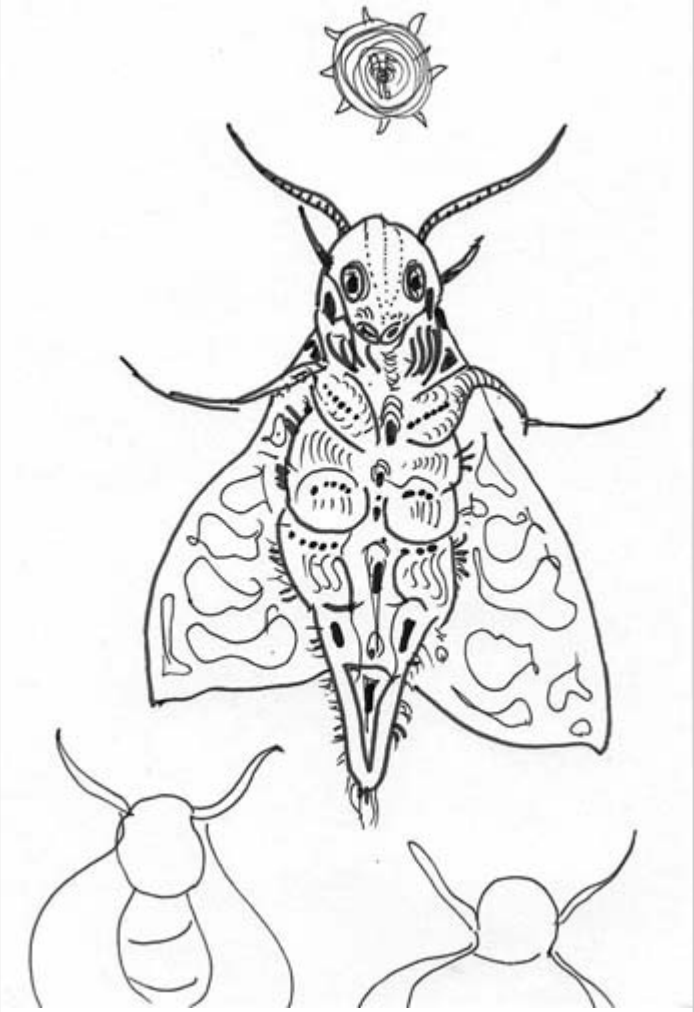

Rys. Adam Fiala

ludzie jak zwykle

się zgromadzili

kadłub odgrodzono

policyjnym pasem

w niebieską kratkę

potem przyjechał dźwig

i załadował kadłub

na traka

pan z bródką zauważył

“zamiast wrzucać

to do dołu

odholujcie łodzią

w głąb Oceanu

bo to naturalne

pożywienie rekinów”

ale nikt nie słuchał

człowieka z tłumu

profesjonaliści

posługiwali się

manualami

które przewidywały

każdą sytuację

Galeria

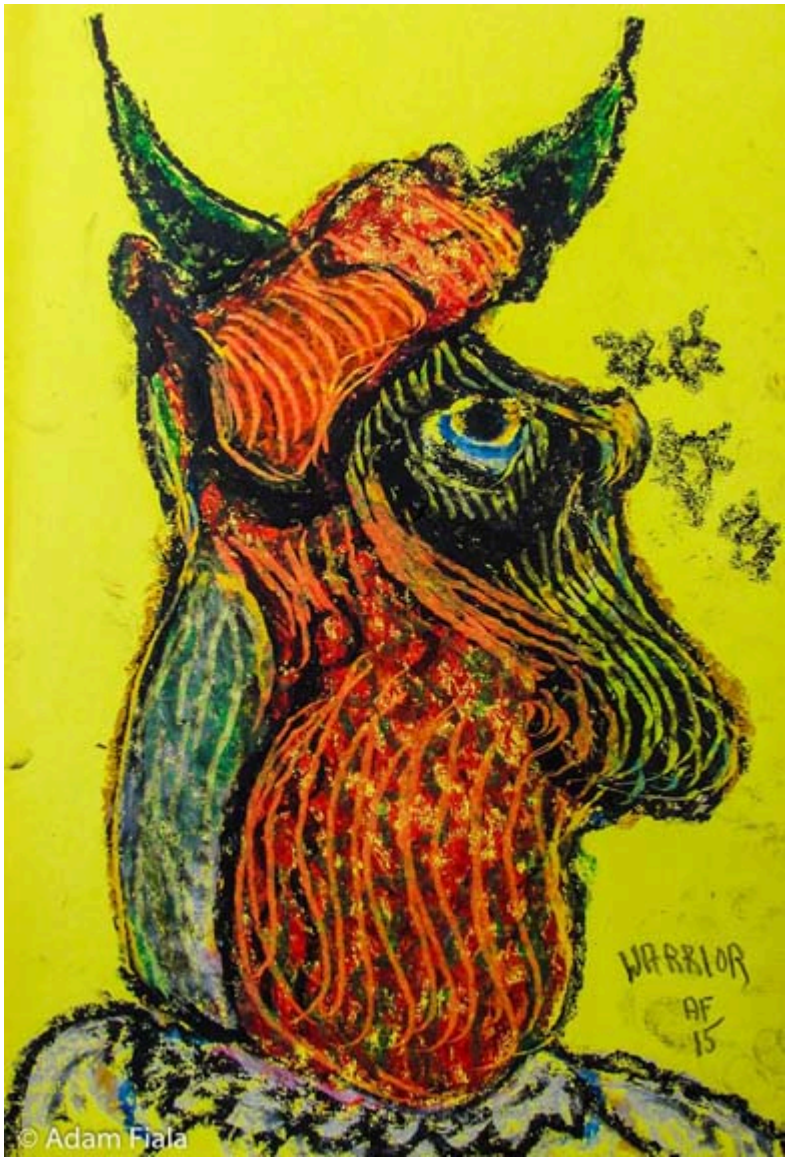
WARRIOR
AF
15
© Adam Fiala


AF
© Adam Fiala

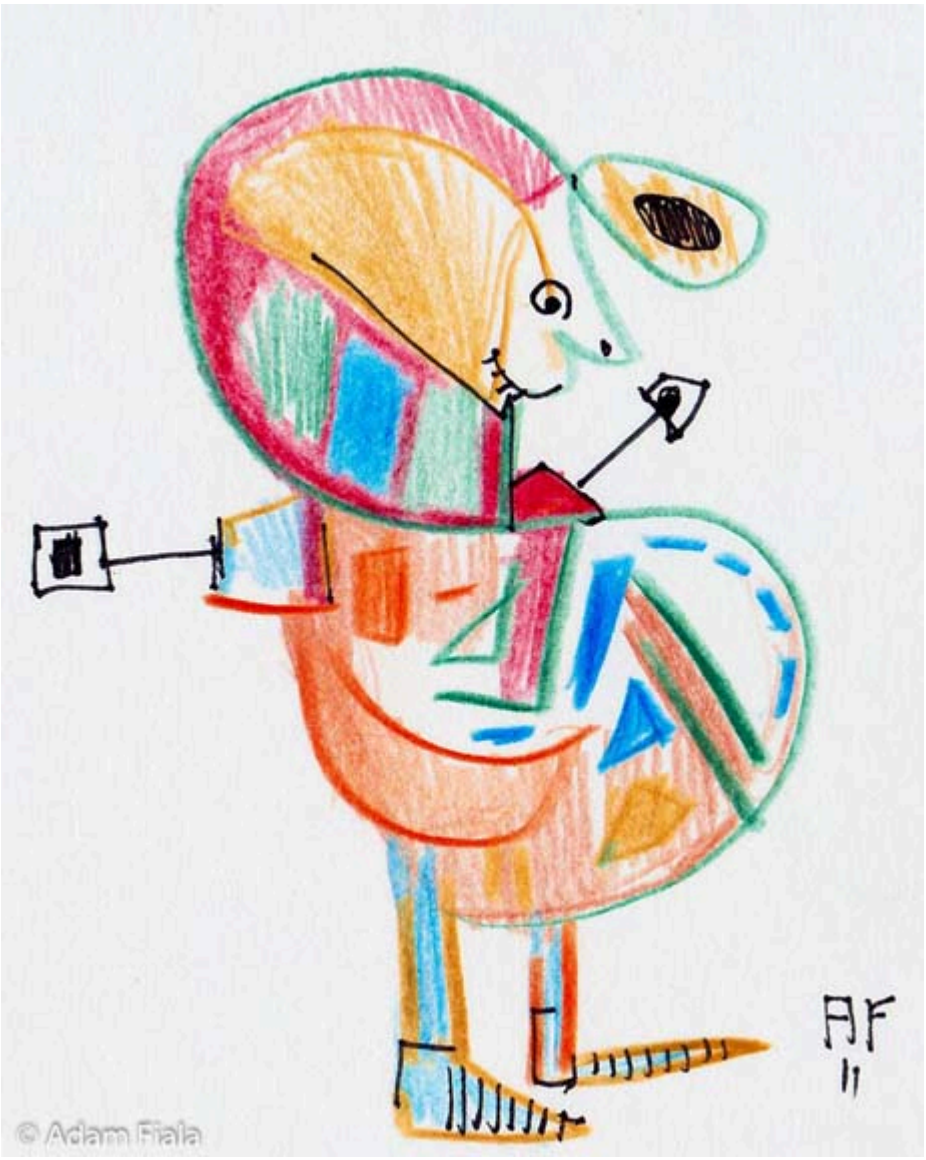


**Strona Anny, Adama i Andrzeja Fiali: http://www.fialaart.com/**

# Ziele nie szarzeje

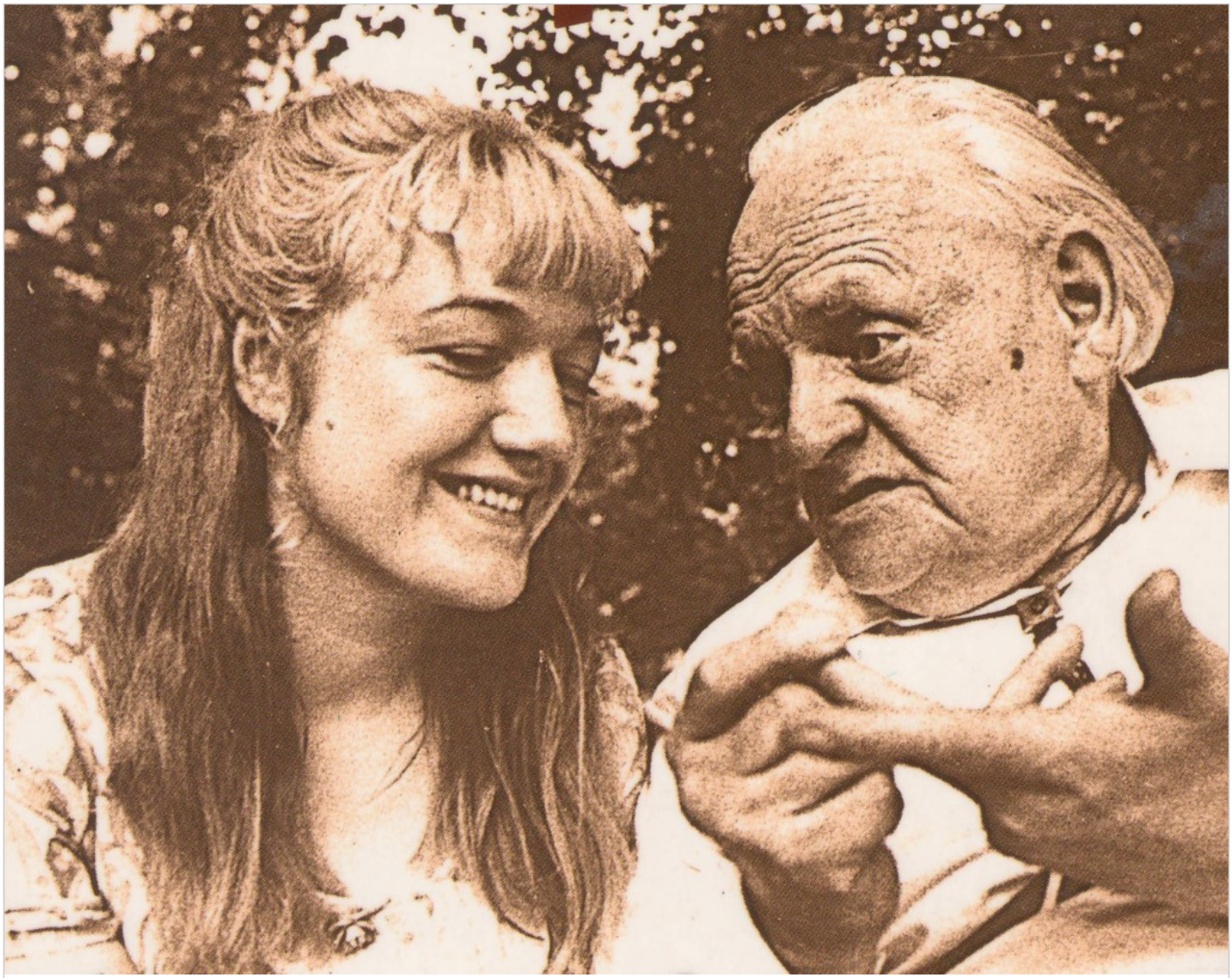

Oleńka Ziółkowska i Melchior Wańkowicz. Oleńka zastąpiła mu utracone córki.

**Barbara Wachowicz**

„Ziemia polska jest nasiąknięta zapachami, dźwiękami, błyskami splecionymi przez dzieje, których nikt nie wypleni… Poszukuję tematów bohaterskich o ludziach, którzy trwali i przetrwali”. Owe słowa ostatniego co tak pióro wodził – Melchiora Wańkowicza można także uczynić mottem twórczości Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, świetnej asystentki i sekretarki autora „Ziela na kraterze”, którą wszyscy przyjaciele do grona których mam szczęście się zaliczać nazywają serdecznie Oleńką.

Oleńka. Serdeczność i ciepło, a zarazem żelazna dyscyplina, nieprawdopodobna pracowitość i precyzja działań. Blask, urok i czar, a zarazem bogactwo tematów, poszukiwań, odkryć. Laureatka wielu prestiżowych nagród, wśród których jest „Złoty Exilibris” Książnicy Pomorskiej, Medal Ignacego Jana Paderewskiego przyznany przez Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce, Arts Award in the Literature Stanu Delaware… Autorka kilkudziesięciu rewelacyjnych książek poświęconych sławnym Polakom na emigracji, bohaterom Powstania Warszawskiego, a nade wszystko Melchiorowi Wańkowiczowi. Stypendystka wielu reprezentacyjnych fundacji – kanadyjskich, brytyjskich, amerykańskich. Doktor Nauk Humanistycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Autorka współpracująca z czołowymi pismami polskimi, kanadyjskimi, amerykańskimi.

A była skromną studentką wydziału polonistyki Uniwersytetu

Łódzkiego.

**„Świadomość istnienia Boga”**

W jakim wyrosła domu? Ojciec – Henryk Ziółkowski herbu Korczak, Wielkopolanin, żołnierz 31.Pułku Strzelców Kaniowskich i działacz Obozu Wielkiej Polski, wierny miłośnik historii i literatury. Matka – Antonina z domu Laśkiewiczówna marzyła (jak napisze Oleńka w swojej autobiografii „Ulica Żółwiego Strumienia”) – żeby mieć córkę „która by się dobrze uczyła, miała ciekawy zawód, interesujące życie i aby poznała świat”. Wszystkie te marzenia matczyne miały się spełnić. Oleńka podaje swoją listę wdzięczności. Co zawdzięcza? „Mamie – ducha pobożności i dobroczynności. Ojcu (którego pamięci zadedykowała „Drugą bitwę o Monte Cassino”) – umiłowanie książek i wagę prawości człowieka. Braciom – poczucie bezpieczeństwa i to że zawsze może na nich liczyć. Synowi Tomkowi – tkliwość i odpowiedzialność. Melchiorowi Wańkowiczowi – zainteresowanie światem i ważność pracy”.

O swych latach dziecięcych Oleńka pisze: „Całe wspomnienie dzieciństwa to kościół. Już jako trzyletniej dziewczynce Mama wplatała mi we włosy białą kokardę, ubierała w białą sukienkę z falbankami, zawieszała koszyk z kwiatkami”. I tak mała dziewczyneczka szła w procesji Bożego Ciała. Dom żył obyczajem staropolskim, szlachetnym rytmem świąt. Boże Narodzenie to był

opłatek, uroczysta wigilia, pasterka w Łódzkim kościele Dobrego Pasterza. „Małej dziewczynce wydawało się, że Pan Jezus urodził się gdzieś w Polsce, w małej stajence na wsi” – wspomina Oleńka. Kiedy zwiedziła po raz pierwszy Betlejem opowiada: „Byłam bardzo przejęta odwiedzając Bazylikę Narodzenia prowadzącą do Groty Narodzenia. Wzruszyłam się znajdując polskie akcenty w Palestynie, stacje Drogi Krzyżowej w Jerozolimie, pomnik z płaskorzeźbami Matki Boskiej Częstochowskiej w Tyberiadzie na dziedzińcu kościoła Świętego Piotra Rybaka wzniesionym w 1945 roku przez żołnierzy 2. Korpusu, wizerunek polskiej Madonny w otoczeniu Mieszka I i Dąbrówki w sanktuarium Zwiastowania w Nazarecie”. W dniu święta Trzech Króli matka Oleńki zakreślała kredą na drzwiach inicjały imion Kacper, Melchior i Baltazar, co miało uchronić dom od nieszczęścia.

Wielkanoc rozdzwoniona pieśnią Alleluja „obwieszczała światu cudowną nowinę o powstaniu z martwych Jezusa Chrystusa. Wydarzenie to jest esencją wiary wszystkich chrześcijan i leży ono u podstaw istnienia naszej religii. Radosny śpiew «Te Deum» – «Ciebie Boże wychwalamy»”. To ulubiona pieśń Oleńki do dziś. Jako dziewczynka wędrowała w pielgrzymce do Częstochowy. „Świadomość istnienia Boga jest silna we mnie i może to jest rodzajem łaski? Wiara, religia, obrządki kościelne – z tym rosłam”.

Rosła także na literaturze ojczystej. „Ojciec mawiał, że książki są czymś wielkim. Są życiem, sercem i centrum przemijającego czasu”. Przeżyła z braćmi prawdziwą „epokę Henryka Sienkiewicza” – „Z pałającymi policzkami i wstrzymanym oddechem całymi dniami czytałam przygody Skrzetuskiego, Kmicica, Wołodyjowskiego. Moje koleżanki kochały się w chłopcach, ja kochałam się w bohaterach literackich”. Jej starszy brat otrzymał imiona Henryk Andrzej na cześć autora „Trylogii” i bohatera „Potopu”. Jej młodszy brat Krzysztof został ochrzczony na cześć Kolumba. Nie wiedzieli ilu odkryć w Ameryce dokona ich utalentowana siostra.

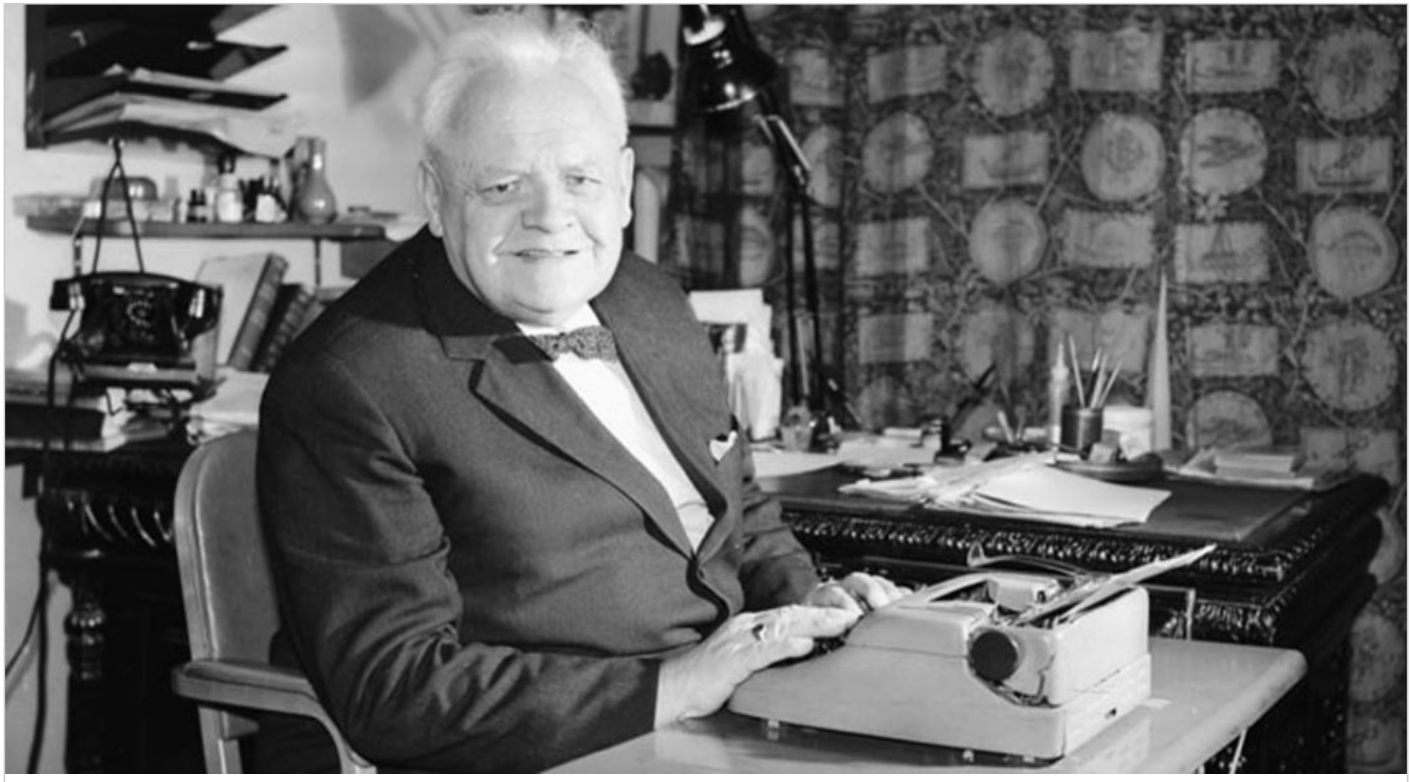

Melchior Wańkowicz przy pracy, Warszawa, 1963 r.. fot. PAP/CAF-Stanisław Dąbrowiecki

**Najbliżej Wańkowicza**

Wieczory u Pana Melchiora Wańkowicza na Puławskiej. Zapraszał nas – ku wielkiej radości – na stole zawsze stały przygotowane talerzyki dla ewentualnych gości. Był samotny. Utracił obie córki. Krysia zginęła w Powstaniu, Marta została w Ameryce i była jego wielkim rozczarowaniem. Odeszła z tego świata żona – legendarny, ukochany Królik.

I oto promienny kontrast – dom na Studenckiej, odblask Domeczku z „Ziela na kraterze" – barwy, uśmiech, Oleńka. To ona opromieniła swą osobowością, opieką i sercem ostatnie lata autora „Ziela na kraterze". Zgłosiła się do najpopularniejszego podówczas pisarza polskiego z drżeniem serca podjąwszy jako temat pracy magisterskiej jego twórczość. Pan Melchior przyjął studenteczkę  z dużym dystansem. Zaznaczył, że ma 45 minut czasu i krytycznie zaczął sondować jej wiedzę. Oleńka przezornie miała ze sobą eseje jakie już poświęciła twórczości Wańkowicza. Z 45 minut zrobiły się godziny i tak to się zaczęło…

W swej pierwszej książce „Blisko Wańkowicza", która momentalnie podbiła czytelników, Oleńka opowiada o dniach przeżytych z Melchiorem Wańkowiczem wśród pachnących żywicą lasów nad Liwcem, w domu na Studenckiej, który pisarz zdołał zbudować na ostatnie lata swego życia. Odbywały się tam spotkania ze starymi przyjaciółmi, wyprawy na kiermasze

łączące, jak wspomni Oleńka, „wielką radość z wielkim utrudzeniem”. Zakres prac młodziutkiej magistrantki był olbrzymi – żmudne zbieranie materiałów, obowiązek adiustacji, nagrywania, przepisywania, porządkowania biblioteki, organizowania archiwum, czuwania nad obfitą korespondencją. W obu Wańkowiczowskich książkach, bo obok „Blisko Wańkowicza” pojawi się potężny tom „Na tropach Wańkowicza po latach”, są wedle autorki „próby poszukiwania prawdy o Wańkowiczu jako pisarzu i jako człowieku”. To znakomita, wnikliwa charakterystyka sławnego pisarza, u boku którego życie było intensywne i różnobarwne. Sędziwy autor „Strzępów epopei” opowiadał Oleńce o jego trudnościach i bólach, i jak je przezwyciężał. „Chciał pokazać, że życie nie jest szare ani różowe, że jest często takie, jakie mu się samemu kolor i sens nada”. Życie w aurze Wańkowicza było pełne kolorów. Żmudny trud Oleńki, jaki włożyła w ostatnią książkę mistrza „Karafka La Fontaine’a” został sowicie nagrodzony – Wańkowicz uroczyście zadedykował tę niezwykłą rozprawę między innymi na temat urody języka polskiego – „Mojej sekretarce magister Aleksandrze Ziółkowskiej”.

Pani magister w znakomitym rozdziale „Na końcu języka” analizuje „Karafkę” ów fascynujący „autokomentarz na temat własnej metody twórczej i warsztatu pisarskiego”. Wspaniałe bogactwo Wańkowiczowskiego słowotwórstwa przywołuje Oleńka cytując jego „inwokację do języka”. Pisze Wańkowicz:

„Myślę o nim jak w najcięższych chwilach ten niezauważalny, bo nieodłączny towarzysz podbiega z rozstrzygającą pomocą: słowem, tak siedzącym w celu, że wzruszenie wpływa na jego soczystość, słowem – patosem, że nagle staje się cisza, słowem – komikiem, który rozrzedził patos, (…) słowem z lamusa wydobytym jak zardzewiały brzeszczot, słowem – wspomnieniem pachnącym saszetkami z heliotropu".

Jest nieskończenie wiele motywów Wańkowiczowskich analizowanych z pietyzmem przez Oleńkę. Rewelacją stały się jej odkrycia dokonane w Instytucie Pamięci Narodowej – donosy agentów Urzędu Bezpieczeństwa tropiących dosłownie każdy krok sławnego pisarza, relacja na temat procesu jaki wytoczono autorowi „Monte Cassino" w roku 1964 z artykułu „dekretu o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa". Akt oskarżenia zarzucał Wańkowiczowi, że przemycił za granicę maszynopis zawierający „fałszywe informacje oczerniające Polskę Ludową". Po latach, kiedy w roku 1990 Sąd Najwyższy w procesie rehabilitacyjnym wydał wyrok uniewinniający, Oleńka dotarła do prokuratora, który brał udział w procesie Wańkowicza i przeprowadziła z nim pasjonujący wywiad. Ona także przytoczyła przykłady jak dalece pisarz hojnie wspierał działania polskiej opozycji politycznej. Oleńce zawdzięczamy także bezcenne dokumenty czym dla Polaków z Warmii i Mazur stała się książka „Na tropach Smętka". Przywołała dedykację więźnia łagru, który napisał do

Wańkowicza, że jeden z towarzyszy jego niedoli „wykazał bezprzykładny hart ducha i szlachetność serca, dzieląc się ze mną pajdą razowego, na wagę złota cenionego chleba, pod warunkiem, iż po powrocie do Kraju ofiaruję mu pańską książkę «Na tropach Smętka»". Córka jednego z bohaterów „Smętka" napisała Wańkowiczowi: „Kiedy Niemcy wyrzucili nas matka wzięła ze sobą tylko tę książkę. Umiałam ją niemal na pamięć. Ileż Panu zawdzięczam w tych latach nocy i pogardy. Ile siły i miłości Polski czerpałam z tej książki!".

Na wieczorze Oleńki Ziółkowskiej-Boehm w warszawskiej księgarni podczas jej ostatniego pobytu w Polsce powiedziałam, że koniecznie powinna napisać jeszcze książkę o listach do Wańkowicza. (Pisarz w testamencie zostawił Oleńce całe swoje archiwum). W książce o nim cytuje niektóre z tych niezwykłych cimeliów poczynając od antologii nieprawdopodobnych adresów: „Melchior Wańkowicz. Warszawa" z dopiskami na kopertach: „(resztę powinien znać każdy warszawski listonosz)", „Każde dziecko wskaże", „Polski Pisarz Narodowy", „Wielmożny Pan Melchior Wańkowicz – potężny utalentowany pisarz, myślący, mądry, zacny, Polak i człowiek!".

Zacytowała Oleńka także wiersz, który ucieszył adresata:

*Mistrzu Niepowtarzalny, Wirtuozie pióra,*

*Pejzażysto barw, światłocieni słów,*

*Kronikarzu doli człowieka,*

*Uśmiechów, radości i łez.*

*Nad Tobą czas się nie zamknie,*

*Pióro nie ostygnie,*

*Karafka nie wyschnie,*

*Ziele nie zszarzeje.*

To wielka zasługa Oleńki, że barwy „Ziela" nie szarzeją. Dzięki jej niestrudzonym wysiłkom ukazała się korespondencja Melchiora Wańkowicza z żoną. Oleńka napisała to, że Wańkowicz „kochał kobiety jak kwiaty". Cytuje też słowa profesora Tatarkiewicza z rozprawy „O szczęściu", iż „szczęście mężczyzny polega na właściwej kobiecie". Pani Zofia Wańkowiczowa, jako młoda matka, pisze: „W listach Melka jest głęboka miłość do nas wszystkich trzech. Jest prawda i prawość. Wzruszająca czułość, troskliwość i delikatność. Strzeże w nich godności naszego życia". My, wierni czytelnicy „Ziela na kraterze", niezłomnie w tę miłość wierzymy.

Finałowym akordem dzieł Oleńki poświęconych Wańkowiczowi jest jej świetna książka, która ukazała się po angielsku w Ameryce. Udało jej się uchwycić wszystkie cechy wspaniałej osobowości pisarza, który mówił o sobie: „Uprawiam pisarskie zielarstwo. Zbieram żywokost, rumianek, chodzę o świcie po rosie, jeszcze przy księżycu. To moje farby, kolory, zapachy. To zew krwi, pożywienia, tradycji…".

**Modlitwy Oleńki**

Bohaterowie Wańkowicza otrzymali od Oleńki przedłużenie swego życia. Dowiedzieliśmy się dzięki jej książkom jaki był los Hubalczyków, takich jak Rodziewicz, Alicki, Szymański – bohaterowie rozdziału „W cieniu legendy Hubala", z książki „Lepszy dzień nie przyszedł już", bohaterowie bitwy o Monte Cassino, bohaterka Powstania Warszawskiego „Kaja od Radosława", która przez 54 lata chroniła Hubalowy Krzyż Virtuti Militari. Wańkowicz opisując losy żołnierzy polskich po wojnie powiedział: „Ciężko jest żołnierzowi zamienić sztandary na szuflę, zwłaszcza obcą. Ciężko jest pisarzowi, który pisał jak sztandary łopoczą na wichrze, zejść do dławiącej w gardle szarości". Opisując losy Hubalczyków Oleńka odnalazła wiele niezwykłych kolorów w tej szarości, do której zepchnął ich los. Jest w jej książkach cała plejada naszych rodaków, którzy zapisali najpiękniejsze karty życia w Polsce i poza jej granicami.



Szczęśliwa trójka – Oleńka z mężem Normanem i synem Tomkiem

Oleńka mieszka w Stanie Delaware ze swoim mężem Normanem Boehm (zm. w maju 2016 r., red.), kuzynem sławnej aktorki Ingrid Bergman. To bardzo szczęśliwe i udane małżeństwo. Miałam szansę obserwować Normana i wzruszać się jego opiekuńczością, tkliwością i adoracją jakie okazuje żonie. Jest także Oleńka szczęśliwą matką Tomka, który zrobił światową karierę jako wybitny fotograf i dziennikarz. Potrafi napisać na Dzień Matki: „Najukochańsza Mamo – kocham i dziękuję za wszystko”.

Oleńka ma swoją własną modlitwę: „Dzięki Ci Boże za życie, za zdrowie, za łaski, za Tomka, Rodziców, Rodzinę, Normana, dom rodzinny, za ludzi, którzy mnie kochali, którzy mi pomogli, za brak wojen i klęsk wokół mnie, za przyrodę, słońce, las, oceany, za dobre myśli, za to, że ból zapomniałam, że dane mi było kochać"…

I jest jeszcze jedna piękna modlitwa Oleńki, która zwiedziła dziesiątki krajów świata. Oto co pisze jadąc drogami Teksasu: „I przypominam sobie pola i lasy w Lipcach Reymontowskich, szum dojrzałego zboża, smak rozgrzanych jagód, jeżyn zrywanych w Radziejowicach, śpiew ptaków w Lesie Kabackim, ciszę i urok Parku Wilanowskiego, białe brzozy w Nieborowie, kształt drzew w Łazienkach, zapach bzu i jaśminu z ogrodu mojego dzieciństwa, zapach powietrza w Tatrach po deszczu". To jest wielka tajemnica przemożnej polskości, której wiernym ambasadorem jest Aleksandra Ziółkowska-Boehm.




Aleksandra Ziółkowska-Boehm z mężem Normanem organizowali Kościuszkowski wieczór Barbary Wachowicz w Filadelfii

*Miesięcznik Polskiego Związku Kobiet Katolickich – „List do Pani” ,*

*Nr 7/8 (236) 2015, str. 28-30.*

Wacław Iwaniuk – poeta, tłumacz, krytyk, któremu przyszło tworzyć poza ojczyzną.



Wacław Iwaniuk i Stefania Kossowska, fot. Archiwum Emigracji, Toruń.

**Florian Śmieja** – *Kiedy i gdzie postawiłeś swoje pierwsze kroki literackie?*

**Wacław Iwaniuk** – W Chełmie ukazała się „Pełnia czerwca” mój debiut tuż przed wyjazdem do podchorążówki do Równego w 1934 roku. Po powrocie pojechałem do Warszawy na studia. Przedtem posłałem Józefowi Czechowiczowi kilka wierszy, pewnie mu się podobały, bo wziął je do miesięcznika „Kultura i

Sztuka”, którego był redaktorem. W Warszawie przypomniałem mu się i zapytałem, co mam robić, czy zapisać się na polonistykę. Radził, że interesując się poezją, poznam literaturę, bym raczej zapisał się na coś bardziej praktycznego. Poszedłem więc na Wyższą Szkołę Dziennikarstwa, ale nie podobał mi się jej poziom. Przerzuciłem się na Wydział Prawno-Ekonomiczny, na zagadnienia emigracyjno-kolonialne oraz przedmioty zalecane przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych, jak historia dyplomacji, historia osadnictwa polskiego, ruchy kolonialne, sprawy pieniężne, statystyka. Masa przedmiotów. Zapisałem się licząc na ewentualne podróże w razie zatrudnienia. Myślałem, że Mickiewicz i Słowacki mogli pisać, bo podróżowali. A my nie podróżując, jak mamy pisać?

**FS** – *Kto z poetów był wtedy w Warszawie?*

**WI** – Czechowicz na stałe, Józef Łobodowski również. Był Stanisław Piętak, który niedługo potem otrzymał nagrodę, Bronisław Michalski, który popełnił samobójstwo, Był też Jerzy Zagórski, dojeżdżał Czesław Miłosz z Wilna. Do Czechowicza zaglądali Julian Przyboś, Jalu Kurek…

**FS** – *Co to znaczy do Czechowicza?*

**WI** – Do jego mieszkania. Awangarda krakowska była ciągle w sporze z Awangardą lubelską, bo ta była bardziej popularna. Trzy

były Awangardy: krakowska, lubelska i wileńska. Wileńska później przylgnęła do lubelskiej, dzięki Czechowiczowi, bo wszyscy oni się z nim komunikowali. Jego poetyka bardziej przemawiała do żagarystów, niż poetyka krakowska Przybosia i Tadeusza Peipera. Zresztą z obcowania i rozmów przed wojną z Miłoszem i Zagórskim wiem, że oni nie bardzo uznawali twórczość Przybosia i poetykę Peipera. Właściwie nikt Przybosia wtedy nie lubił, ani jego, ani jego wierszy, oprócz Jana Kotta i Zbigniewa Bieńkowskiego może. Skupialiśmy się przy piśmie „Zet", prawie że filozoficznym pod hasłem Hoene-Wrońskiego. Wydali je bracia Braunowie. Tam była kolumna poetów. Z tych czasów pamiętam Henryka Domińskiego. Drukowaliśmy również we lwowskich „Sygnałach".

Na Wyższej Szkole Dziennikarstwa pojawił się też Jerzy Pietrkiewicz ze swoją piękna czupryną. Nie wiem, czy ukończył, bo ciągle chorował. Od razu przygarnął go Stanisław Piasecki do „prosto z Mostu". Drukował też w „Polsce Zbrojnej", piśmie wojskowym, dobrym piśmie. Zgubiła go mocarstwowa obsesja i te propagitki. Tam go wymanewrował Jerzy Andrzejewski. Drukowałem też w „Okolicy Poetów", gdzie zapoznałem się z Janem Ożogiem i Czesławem Janczarskim, który po wojnie był wydawcą „Misia" i pisał bardzo dobre teksty dla dzieci.

Łobodowski żył blisko z Czechowiczem. Nie podtrzymywał stosunków z grupą lubelską. Przyznawał się do nas, ale nie

przychodził na spotkania, bo gdzieś tam pił z Konstantym Gałczyńskim. Szybko przygarnęły go „Wiadomości Literackie” po ogłoszeniu tych artykułów, w których wyrzekał się komunizmu. Zaatakowała go wówczas Wanda Wasilewska, nazwała go zdrajcą. On się już wtedy spotykał w Ziemiańskiej z Julianem Tuwimem, z Antonim Słonimskim czy Światopełkiem Karpińskim, potem dołączyła Zuzanna Ginczanka. Wtedy jeszcze Awangarda lubelska zwalczała „Wiadomości Literackie”, „Skamandra”, i ich poetykę, a on dołączył do nich i u nich drukował.

**FS** – *Niektórzy zarzucają Łobodowskiemu, że się jako poeta nie rozwijał.*

**WI** – Jego trzeba traktować inaczej. Wszyscy utrzymują, że powinien był zmienić swój sposób pisania, swoja poetykę. Bo Wierzyński się zmienił. Łobodowski jest ostatnim romantykiem tego typu, jakimi byli skamandryci. On do nich dołączył i stanowi ich ostatnie ogniwo. Zamyka ich okres poezji trochę romantyczny, trochę młodopolski, trochę niepodległościowy, gdzie jest rym i rytm. To jest historyczna rola Łobodowskiego, ze on ten okres zamyka. Dzięki lojalności wobec własnej poetyki, będzie miał odrębny rozdział w historii poezji polskiej. Łobodowski należy do tych innych skamandrytów, którzy się nie zmienili.

**FS** – *Czy Hiszpania wywarła wpływ na poezję Łobodowskiego?*

**WI** – Oczywiście. Jego „Kasydy i gazele” to duże osiągnięcie. Wprowadził do polskiej poezji nową poetykę orientalną. Przedtem tego nie było.

**FS** – *Mówimy o nim, jako o poecie, pominiemy jego dorobek prozatorski, jego powieści i artykuły.*

**WI** – Właśnie. Szkoda, że on się tak zaangażował politycznie. Te artykuły i polemiki go zgubiły. Gdyby był tylko poetą, pisałby inaczej i lepiej. A że musiał być wyrobnikiem dziennikarskim, to go spłyciło.

**FS** – *Na Emigracji z kim głównie utrzymywałeś kontakty?*

**WI** – Bardzo blisko żyłem z Tadeuszem Sułkowskim. Uważam jego poezję za duże osiągnięcie. Ma nie tylko własna poetykę, ale własny styl twórczy. Wypracował sobie swoisty styl, czego np. nie dokonał Miłosz. Uważam, że Miłosz stworzył pewny własny styl w Kraju, kiedy wydał „Trzy zimy”. Potem za granicą Miłosz wgłębił się w poetów amerykańskich, przejął ich styl i sposób pisania począwszy od Walta Whitmana po Jeffersa. Miłosz teraz naśladuje, no naśladuje siebie, ale stylem tych nowo poznanych poetów amerykańskich. Własnego stylu nie stworzył.

**FS** – *Sułkowski był samotnikiem. Bardzo trudno tworzył i nie wydawał. Dopiero po jego śmierci wyszły dwa szczupłe zbiory*

*poezji.*

**WI** – „Dom złoty” to jego własna poetyka, „Tarcza” to wybitny poemat. W życiu mu się nie powiodło. Kiedy został administratorem Domu Pisarza na Finchley w Londynie, to w praktyce był sprzątaczem, na którym wyżywały się żony innych lokatorów. „Panie Tadeuszu, to trzeba zmyć, to trzeba usunąć. A co, kuchnia jeszcze nie sprzątnięta?” One wchodziły jak wielkie panie, bo ich mężom się lepiej wiodło. To go bardzo przygnębiało. Dlatego, gdy wyjeżdżałem do Kanady, chciał bym mu tam znalazł jakieś miejsce. Ale ja wyjechałem do dalekiej Alberty, gdzie był śnieg i mrozy. Posyłałem mu paczki, ale nie było mowy o znalezieniu czegoś dla niego, bo ja sam chciałem stamtąd wyjechać.

**FS** – *To był taki szczodry brat-łata. Innym pomagał, a sam trzymał się skromnie na boku, zawsze uśmiechnięty, choć po cichu marzący o jakimś godniejszym formacie życia. Polecał innych, sam się nie dopominał. Umarł za wcześnie. Pewnie z beznadziei…*

**WI** – Całe szczęście, że jego poezja nie została zapomniana. „Twórczość” zamieściła niedawno szereg jego wierszy. Ale ten kontakt z Marią Dąbrowską, którym się chlubił, był raczej kurtuazyjny.

**FS** – *Znałeś Bronisława Przyłuskiego?*

**WI** – To był oryginalny i samorodny talent, tylko wojsko, zawodowa służba wojskowa go znarowiła. Bo stwarza szablony ludzi. Będąc oficerem zawodowym za bardzo ulegał tym szablonom. To zaszkodziło jego poezji. Nie był sobą, nie był cywilem. Ale miał swój awangardowy styl.

**FS** – *Opowiadał mi kiedyś – nieraz odwiedzałem go w tym szpitalu psychiatrycznym, gdzie pracował – że napisał zbiór wierszy, nie wiem o który dokładnie chodzi, i posłał go do wglądu Stanisławowi Balińskiemu. Ten długo te wiersze przetrzymywał, aż wreszcie mu je odesłał przepisane na modłę skamandrycką…*

**WI** – No tak. To był Baliński.

**FS** – *Jednym słowem, wiersze dobre, ale trzeba koniecznie w innej konwencji.*

**WI** – Baliński tkwił w poetyce Skamandra aż do przesady, a ponadto on nie bardzo się orientował w innych poetykach, nie akceptował innych. Wierzyński miał jednak bardziej otwarty umysł, jeśli chodzi o poezję.

**FS** – *Na wyróżnienie zasługuje Czesław Bednarczyk.*

**WI** – Cieszyłem się bardzo z poznania Bednarczyka, bo to jest dobry poeta i ma interesujące osiągnięcia. Ale twarde życie emigracyjne wszystkich nas wykośławia i ogranicza.

**FS** – *Kiedyś będą pisali na temat wpływu warunków emigracyjnych na twórczość pisarzy. Co możemy na ten temat powiedzieć? Wspominaliśmy o tym nieco mówiąc o Łobodowskim.*

**WI** – Gdyby nie było tak trudno żyć na Emigracji, to można by było np. zająć się lekturą. Wielkie osiągnięcia w naszym czasie ma poezja grecka, kopalnia talentów jest poezja amerykańska czy poezja krajów Ameryki Łacińskiej. Gdyby np. Łobodowski był się wczytał w podobną lekturę, to może byłby uciekł od tej nostalgicznej poetyki, a pisałby bardziej rzeczowo. Inni poeci też byli zbyt zajęci. Myślę o sobie. Jak pracowałem w rzeźni, to czy mogłem myśleć o tym, co czytać? Czasu nie było. Potem, kiedy już pracowałem w magistracie, to jak zrobiłem notatkę w kolejce podziemnej, to już było dużo. Niekiedy udało się coś więcej napisać w czasie weekendu. Ale to nie można tak powiedzieć, że teraz napiszę, bo jest weekend…Przecież pisze się, kiedy się chce pisać. A wolnych momentów nie było dużo. Poeci mieli to wielkie nieszczęście, że zostając na Emigracji musieli starać się o pracę, o środki do życia, wchodzić w nowe środowisko, nawet formalnie. Bardziej szczęśliwi byli młodzi poeci „Kontynentów”. No i brakowało pism. Bo w Kraju mieli gdzie drukować.

**FS** – *Ponadto ciążyły na nich obowiązki obywatelskie…*

**WI** – One spadły na barki byłych żołnierzy, byłych walczących, byłych patriotów. Kraj był okupowany przez komunizm, trzeba było walczyć. Myśmy przy tym mieli raczej nostalgiczne poglądy zgodne z Wielką Emigracją. Idealizowaliśmy Polskę i Polaków.

**FS** – *Obecnie tyle się zdarzyło, tyle nadziało. Doczekaliśmy się otwarcia na Zachód, częściowej zmiany systemu, licznych wyjazdów, ciągłych pobytów pisarzy i poetów za granicą.*

**WI** – Nowo przybyli poeci, którzy wyrośli i wychowali się w Polsce Ludowej utrzymują własne kontakty, mają własne sposoby reagowania na różne rzeczy. Mimo, że się tu u nas pojawili, uważają się za innych emigrantów, niż my jesteśmy, żyją w tej atmosferze, którą sobie wytworzyli w Polsce. Tu są niby na wolności, ale utrzymują swój krąg, tylko ze sobą się kontaktują. Nie wsiąkli w emigracyjne środowisko.

**FS** – *A czy jest ono aż tak atrakcyjne?*

**WI** – Mogli zacząć od tego, żeby stać się częścią społeczną tego środowiska, mogli zapisać się do Związku Pisarzy, co zrobili bodajże Stanisław Barańczak i Zdzisław Najder. Mogliby wtedy przyjrzeć się tej Emigracji bliżej. Ale ich to właśnie nie obchodzi. Oni dalej żyją Polską i własnymi osiągnięciami, które maja za

granicą.

**FS** – *Mamy więc w jakimś sensie dwie poetyki, dwie społeczności pisarskie istniejące obok siebie, nie przenikające się nawzajem. A czy to, że nasza poezja obecnie bez większych trudności dociera do Kraju, ma znaczenie?*

**WI** – Będzie miało. Jeśli chodzi o same zdobycze poetyckie, to trudno powiedzieć. Historia to dopiero oceni. Czy w Smieji wierszach były takie elementy, których nie było w Polsce, czy w Iwaniuka poezji było to czy tamto… Ja myślę, że trzeba poczekać.

**FS** – *A nie stało się to wszystko jakby za późno?*

**WI** – Zdecyduje historia. Współcześni nie są sędziami. Dopiero czas właściwie oceni i odsieje. Bez emocji, bez uprzedzeń i kokieterii.

**FS** – *A jakie my zajmujemy stanowisko? Czy jest ono właściwe?*

**WI** – Czy ja wiem, czy poeta powinien zajmować stanowisko? W końcu poeta może zajmować stanowisko w stosunku do jakiejś innej poetyki, ma być samodzielny, niezależny i pisać. Czy to się komuś podoba, czy nie, czy go ktoś uzna czy nie uzna. Poeta zawsze jest samotny, czy pisze w Kraju, czy pisze na Emigracji. Tworzenie programów czy grup jest może nawet szkodliwe.

Pozostają nazwiska, pozostaje osobiste osiągnięcie. Ale społecznie poeci mogą i powinni się udzielać, bo taka aktywność jest również materiałem do twórczości.



Wacław Iwaniuk, Toronto, fot. Arch. Emigracji.



Wacław Iwaniuk, Toronto, fot. Arch. Emigracji.

**FS** – *Czy literatura tworzona na Emigracji jest dopełnieniem literatury krajowej?*

**WI** – Jest jakby nową częścią. Wniosła nowe pierwiastki do literatury w Kraju, zwłaszcza w okresie, gdy tam panował socrealizm. Literatura emigracyjna była tematycznie bardzo zróżnicowana. Pisał wtedy Baliński, Kazimierz Wierzyński, Józef Wittlin, Jan Lechoń. Oni wnosili treściowo nowy pierwiastek twórczy do polskiej poezji w ogóle. Poszerzali krąg tematyczny.

**FS** – *Czy dal tych najmłodszych piszących, którzy wyjechali z Polski i tu się osiedlili, taki wyjazd jest szansą? Czy oni na Zachodzie znajda dobry klimat i podniety?*

**WI** – Jedyna szansa, to szansa materialna. Oni się tu nie rozwiną. Zagubią się, zwłaszcza jeżeli przyjeżdżają młodzi pisarze, nieuformowani, nie mający swojego dorobku literackiego. Oni przepadną w środowisku dla nich obcym. Chyba, że przejdą na pisanie w obcym języku.

**FS** – *A jak to się stało, że myśmy jednak przetrwali?*

**WI** – Przede wszystkim byliśmy w skupisku polskim. Ci, co przyjechali w starszym wieku, tworzyli dalej, jak przed wojną np. skamandryci. Oni nie mogli zginąć, bo mieli już swój własny dorobek np. Lechoń, Wierzyński czy Słonimski, kiedy był jeszcze na Emigracji. Poza tym, ta następna grupa też już była uformowana, mój rocznik, Pietrkiewicz, ja i inni z naszego rocznika. Jednak mieliśmy już debiuty w Polsce, drukowaliśmy w Polsce. Byliśmy o tyle zagubieni, że kontynuowaliśmy stylistykę, formę poetycką z Polski przed wojną. Poezja na świecie się zmieniła, ale myśmy nie mieli czasu tkwić w tej poezji, bo byliśmy albo w wojsku, albo w jakiejś organizacji. Nie mieliśmy takiej wolnej chwili, aby stać się tylko pisarzem na Emigracji. Zaś najmłodsza grupa „Kontynentów” mimo wszystko miała środowisko starszych. Chociaż była młoda i kończyła studia za

granicą, to miała oparcie w starym środowisku, wśród pisarzy już uformowanych. Jak się wyodrębnili, zresztą tylko częściowo, to nie stworzyli własnej poetyki, tak jak to zrobili, czy chcieli zrobić, młodzi w Polsce, czy w innych krajach. Poza tym ciążył też na nich pewien obowiązek społeczny, czy to przez kontakty z rodzicami, czy to przez kontakty dalsze z organizacjami polskimi emigracyjnymi. Ciążyli do pewnych zastanych już form społecznych a nawet literackich.

**FS** – *Nawet pewien antagonizm to jest kontakt. Można uformować się także w opozycji do czegoś istniejącego. Ci nowi za granicą maja niby trudniejszą sytuacje pisarską, ale równocześnie mają dość ścisły kontakt z Krajem.*

**WI** – Jeśli utrzymają ten kontakt z Polską, jeżeli będą pisarzami polskimi jak byli w Kraju, to się utrzymają na poziomie. Ale jeśli zechcą wejść w środowiska krajów, w których są, to muszą się zdecydować: albo będą pisać w języku kraju osiedlenia, albo będą pisać tylko w języku polskim. Bo w dwu językach pisać nie można. Weźmy np. Barańczaka, który był już uformowaną osobowością literacką, jak przyjechał do Stanów Zjednoczonych. W tej chwili jego wiersze przed emigracyjne pisane w Polsce są ciekawsze od wierszy pisanych teraz za granicą, mimo, że tematyka poszerzona, że pisze o Bostonie i rzeczywistości amerykańskiej. Ale jeśli chodzi o jego poetykę, to była ciekawa ta nowofalowa, przed emigracyjna.

**FS** – *To chyba wszystkim grozi, choć w Polsce niektórzy uważają, że np. Adam Zagajewski pisze w Paryżu jakby pełniej.*

**WI** – Czy ja wiem? Zagajewski pisze dużo i pisze spontanicznie. Ale jak kiedyś spojrzałem na jeden jego dość długi wiersz to pomyślałem: mógłbym wziąć ostatnie linie tego wiersza i dać na sam początek, pierwsze linie przenieść na sam koniec, mógłbym ze środka usunąć chyba jedną trzecią tych wierszy i pozostałby ten sam skutek. Dużo ładnych wersów a przecież wiersz, to jest taka budowa, że usunięcie kilku słów kładzie go. U niego można usuwać całe linijki, zwłaszcza w tych dużych poematach. To tak płynie ciurkiem…

**FS** – *Czy poezja ma społeczne znaczenie?*

**WI** – Akt twórczy jest wynikiem jakiegoś wewnętrznego impulsywnego przeżycia i wtedy się pisze nie myśląc o niczym, żeby zadowolić samego siebie. Wypowiedzieć to, co jest w nas. Nie myśli się wtedy ani o społeczeństwie, ani o środowisku. Ale ten akt twórczy jest zarazem społeczny. Czytelnik szuka pożytku dla siebie. Społeczne momenty wykrywa krytyka.

**FS** – *Czy to, co się obecnie dzieje w Polsce wpłynie na twórczość?*

**WI** – Oczywiście. Nawet ujawnienie się wszystkich pism

podziemnych poszerza horyzont i umożliwia intensywniejszą twórczość. Stworzy się większy popyt na literaturę w Polsce. Powiększy przymus twórczy. Więcej pisarzy będzie pisać, bo będą mieli większą możliwość druku.

**FS** – *Niektóre czasopisma oficjalnie upadną, bo będą inne pisma drukowane otwarcie. Ale będą i ujemne skutki…*

**WI** – Będzie większa kontrola. Nie będzie się wydawać tyle złych rzeczy, jak do tej pory się wydawało. Przez znajomość, przez stosunki i inne jeszcze wpływy ukazywały się książki, czy drukowane były rzeczy nie na poziomie. Teraz będzie większa kontrola artystyczna.

**FS** – *Normalny obieg i normalne życie literackie.*

**WI** – Przypuszczam, jeżeli utrzyma się politycznie ten standard jaki jest w tej chwili.

**FS** – *Bo z kolei literatura uwolni się od tych wszystkich świadczeń politycznych czy propagandowych.*

**WI** – To jest najważniejsze…

**FS** – *Ale i po drugiej stronie barykady nie będą musieli ustawicznie walczyć z komunizmem w wierszach…*

**WI** – A ponadto ci pisarze komunistyczni być może mają jakieś teksty, które można wydać normalnie, jeżeli mają wartość artystyczną. Możliwe jest, że np. Wojciech Żukrowski coś wspaniałego stworzy.

**FS** – *Pozostanie jedno niebezpieczeństwo: komercjalizacja. To co jest przeciętnym gustem, będzie dominować. Dużo tej miernej literatury może pojawić się na miejscu wyeliminowanej komunistycznej i propagandowej.*

*Czy widzisz jakąś zasadniczą różnicę między naszą twórczością a tym, co pisze się w Kraju?*

**WI** – Pisarz emigracyjny, jeżeli tworzy, to wyraża równocześnie środowisko, w którym żyje. Nasze środowiska emigracyjne są inne niż pisarzy krajowych. Ponadto mieli oni ten nakaz socrealizmu, a my go nie mieliśmy. Ale, jak powiedziałem już przedtem, Łobodowski mieszkając w Hiszpanii podjął nowy temat środowiskowy przybliżając poetykę arabsko-andaluzyjską. W Anglii, nawet z waszej grupy „Kontynentów" piszą o Londynie. My tu zawsze potrącamy o realia kanadyjskie, czego nie mogą robić twórcy krajowi.

FS – *Dodatkowym elementem sytuacji twórcy na Emigracji jest chyba większa samotność…*

**WI –** Pisarz jest zawsze samotny, czy on pisze w Kraju czy tu, czy pisze do druku, czy do szuflady. Jest zawsze samotny. W momencie, kiedy siada by wyrazić siebie, by zanotować własną myśl, wtedy tym bardziej jest samotny. I to jest dla pisarza najważniejsze. Atmosfera wyobcowania czy wyodrębnienia pogłębia się na Emigracji może bardziej. Niektórzy pisarze w Kraju też mówią, że są samotni, mimo, że piszą i drukują w Kraju. Samotność ma chyba różne stopnie, różne głębokości. Sam Różewicz pisząc wiersz „Dno", opisuje jak on spada, spada, aż wreszcie jest na takim dnie, że niczego nie widzi.

**FS** – *A więc co się liczy? Wierność sobie? Doskonalenie warsztatu? Praca nad językiem?*

**WI** – Język się zmienia. Może właśnie nasz język tutaj ocali pewne rzeczy, a nie w Kraju. Gramatyka się nie zmieniła, ale słownictwo się zmieniło.

**FS** – *Czy prasa w ogóle, w tym także prasa emigracyjna, jest pomocna twórczości?*

**WI** – Uważam, że nie. Teraz znowu powstały nowe pisma. Może one są pomocne pewnym nazwiskom czy pewnym grupom. Cóż może jednak pomóc nam prasa emigracyjna w Kanadzie? Usiądziemy i albo napiszemy wiersz, albo nie napiszemy. Czy on się potem ukaże w prasie czy nie, to nieważne.

**FS** – *Tak, ale z kolei nie będzie omówień poezji, jeśli zaniedbamy prasę…*

**WI** – To nie zmienia sprawy. Nie ma i tak omówień poezji, bo „kultura” czy „Zeszyty Literackie” czy kto tam jeszcze pozostał, nie bardzo te rzeczy śledzą. Nawet gdyby omawiali, to ci którzy piszą nie są przygotowani, aby tom poetycki krytycznie rozpracować. Powiedzą, że ukazał się. Jak autor należy do ich grupy, to pochwalą, jak nie należy, to nie pochwalą. Nie myślę, by byli krytycy na poziomie traktujący tomik jako zjawisko poetyckie. Barańczak tego nie robi, a mógłby to robić. Nawet w tej książce, którą wydała „Kultura”, on tylko swoja grupę widzi. Jeżeli kogoś innego dostrzega, to tylko piszącego tak, jak ich poetyka Nowej Fali. Pisał kiedyś o Marianie Czuchnowskim dlatego tylko, że ma te prozaizmy czyli zaczynał tak, jak oni zaczynali. Pisze o tym, co on lubi. Także Artur Sandauer. Kazimierz Wyka jeszcze pisał o wszystkich, robił rozbiór, jak powinien robić historyk literatury. Ale po nim już nie widać nikogo znaczniejszego. Piszą o swoich, albo o tych, którzy piszą tak jak oni uważają, jak powinni pisać.

**FS** – *To by wymagało zdrowego obiegu książki, energicznego życia literackiego…*

**WI** – Przede wszystkim wymagałoby wychowania jakiegoś nowego krytyka, takiego, jakim przed wojna był np. Wacław

Borowy czy Stanisław Brzozowski, choć on też miał swoje predylekcje. Oni z krytyki zrobili dział literacki, dział twórczy. A Karol Zawodziński poprzestał na Skamandrze nie uznając w ogóle Czechowicza.

**FS** – *Jesteś ze swojego dorobku poetyckiego zadowolony?*

**WI** – Właściwie, nie. Gdybym miał unieważnić coś z tego, co pisałem, unieważniłbym kilka tomików. Mnie się zdaje, że to co teraz napisałem, jest dla mnie wiele ciekawsze i bardziej interesujące niż dotychczasowa twórczość. Nawet te tomiki wydane przez „Kulturę", były wydane pod naciskiem społecznego, patriotycznego obowiązku pisania. Jest to jakaś wypowiedź wewnętrzna stylem, który już nie istnieje.

Mam w przygotowaniu tomik „Moje obłąkanie". Przypuszczam, że tam będą moje najlepsze rzeczy. Oprócz tego jest kilka wierszy, które poprzednio napisałem. Uważam, że dobry jest wiersz „Après le déluge". Jest w nim treść, jest zwięzły, dość ciekawym językiem napisany, ale nikt tego nie zauważył.

**FS** – *A które odpisałbyś na straty?*

**WI** – Całą twórczość przedwojenną. Połowę wierszy, które wydała „Kultura".

**FS** – *Ale czy można tak od razu pisać, jak u szczytu pracy twórczej? Może te stopnie są ważne, to wchodzenie na wyżynę? Bez nich nie byłoby tej dojrzałej formy. Krytycznie odnosisz się do dawnych wierszy. Zamiast mówić, że Cię nie zadawalają, czy nie warto by było przerobić je?*

**WI** – Ja wiem? Wydaje mi się, że nie. Każdy poeta myśli z przekąsem o swoich pierwocinach, o swoim debiucie. To jest naturalne. Uważam, że nie ma już co poprawiać. Te wiersze może ważne są dla badacza, dla historyka literatury. Ale dla mnie, dla poety, są mniej ważne.

**FS** – *A pomyślałeś o tym, żeby opracować własną antologię?*

**WI** – Ja bym to zrobił. Teraz w Polsce wydają wybory moich wierszy. I tam będą te wszystkie teksty, słabe i dobre.

**FS** – *Będzie to taki obszerny wybór informujący o całokształcie Twojej twórczości.*

**WI** – Mnie to nie zadawala. Wolałbym, aby ukazało się kilkanaście wierszy, ale te, które są poetycko dla mnie ważne. A wszystkie inne powinny być zapomniane.

**FS** – *Zaproponuj więc taką antologię, zrób własny wybór, uzasadnij i wyślij. Jerzy Niemojowski, dla przykładu, zawiózł*

*antologię poezji emigracyjnej, z której ponoć wykluczył wszystkich poetów „Kontynentów". Zrobił więc antologię bardzo osobistą.*

**WI** – No to co to będzie za antologia!

**FS** – *Sadzę, że Twoje pokolenie miało sporo pomniejszych postaci, których wiersze nie ukazały się w żadnej poważniejszej antologii, choćby wymienić tylko takich poetów jak Jan Kowalik, Jan Leszcza, Janusz Wedow, Józef Żywina, Bolesław Kobrzyński czy Stefan Legeżyński. Kiedyś sam też myślałem o skomponowaniu takiej antologii poetów emigracyjnych średniej, a więc i Twojej generacji, antologii, czy właściwie, wobec braku możliwości druku, wyselekcjonowanej listy krytycznej. Sam taki schemat już wydał mi się ważny, jeden z pilnych dezyderatów, który przy sprzyjających warunkach mógłby zostać zrealizowany.*

*Czy uważasz się za człowieka kontrowersyjnego?*

**WI** – Nie wiem. Starałem się postępować tak, jak uważałem, że należy postępować. Czy to jest kontrowersyjność?

**FS** – *Znalazło to jakiś wyraz w Twojej poezji? Co Twoim zdaniem może uchodzić za szczególnie drażniące?*

**WI** – Nie uznaję wpływów środowiskowych. Nigdy nie powiem,

że przyjechałem tutaj do Kanady, żeby być częścią Polonii, żeby pisać dla Polonii. Byłem w organizacjach, ale uważałem te organizacje za polskie, a nie polonijne. Polonia, jako taka, nigdy mnie nie interesowała i nie interesuje.

**FS** – *Ja sądzę, że mamy tu do czynienia z problemem nomenklatury… Co w takim razie jest Twoim motorem napędowym? Dlaczego ciągle jeszcze piszesz, dlaczego ślęczysz nad papierem, zamiast leżeć gdzieś na plaży i opalać się, albo smażyć mięso i pić piwo, jak to robi lwia część naszych ziomków na tym kontynencie?*

**WI** – Pewnie ten jakiś wewnętrzny przymus. Każdy piszący ma przymus, by wyrazić siebie, by coś napisać.

**FS** – *Wyrazić siebie dla kogo? Czy Ty nie uważasz, że warunkiem zaistnienia utworu jest percepcja odbiorcza?*

**WI** – Przede wszystkim piszę dla siebie, dla literatury polskiej. Jestem ukontentowany, jeśli to co napiszę mnie zadawala, że to ma jakąś wartość artystyczną, poetycką.

**FS** – *Ale w jakim sensie Ciebie to może zadowolić? Czy dlatego, że zdołałeś jakąś myśl, która ciebie drążyła, jak mawiają dziś w Polsce, „adekwatnie wyartykułować”?*

**WI** – Że coś wniosłem do słownictwa, do poezji polskiej. Że ta linijka czy wiersz zostaną w poezji polskiej. A czy ktoś to pochwali albo zgani, to mi jest zupełnie obojętne.

**FS** – *Czy w ten sposób poznajesz siebie lepiej czy też jesteś medium, które przekazuje coś, czego nie potrafią inni?*

**WI –** Raczej to drugie. Że coś wnoszę do języka, co go poszerza i pogłębia, daje nową myśl.

**FS** – *To będzie więcej niż tylko język, może asocjacje, może wrażliwość?*

**WI** – Ostatnio napisałem taki wiersz „Droga". Przypomniała mi się ta droga, która prowadziła od dzierżawy mojego ojca pod Chełmem, jak się szło do miasta. I ta droga była taka ładna, rzeczywiście. ten wiersz się sam napisał właściwie.

**FS** – *Tak, tylko przez pięćdziesiąt lat go w sobie nosiłeś…*

**WI** – O to chodzi. Nawet go nie próbowałem jeszcze przepisać, ale wydaje mi się, że w momencie pisania wyraziłem tylko to, co we mnie było, a nie miałem na uwadze ani środowiska tutejszego, ani zaplecze społecznego, ani dotychczasowego mojego dorobku poetyckiego. Po prostu usiadłem i napisałem ten wiersz. Otwarła się jakaś komórka we mnie i jeszcze jeden utwór

wypłynął.

**FS** – *A czy można jakoś przygotować sobie taki moment, kiedy otwierają się komórki?*

**WI** – Ja nie wiem. Myślę, ze nie. Chyba są takie środki, narkotyki, pisarze zażywają środki pobudzające…

**FS** – *Nie miałem na myśli środków zewnętrznych. Czy potrafisz narzucić sobie taką dyscyplinę, jakiś intelektualny nawyk, który powoduje, że masz możność, taka potencję pisania, jeśli zaświta nagle jakaś myśl?*

**WI** – Sadzę, że to jest przymus. Warsztat twórczy. Jeżeli zmusisz się do tego, że w pewnych momentach usiądziesz i czytasz, poświęcasz się tylko pisaniu i literaturze, od tej i do tej godziny nie chcę mieć żadnych telefonów, żadnych kontaktów z nikim, poświęcam się własnym przyjemnościom. Poprawiasz coś czy czytasz i wtedy przychodzi ten przymus twórczy. Ja mam takie chwile. Przeważnie siedzę nad starymi tekstami i poprawiam. Wtedy przychodzi jakaś myśl, więc pisze wiersz.

**FS** – *Czy ten przymus twórczy to dawne natchnienie?*

**WI** – Czy ja wiem? Wątpię czy w naszym wieku można mówić o natchnieniu. Myślę, że przymus twórczy ładniej brzmi. Lektura

jest ważna. Miłosz napisał, że siedzi i czyta jakąś książkę i wtedy nachodzi go myśl napisania wiersza. Możliwe, że w ten sposób korzysta już z dorobku cudzego, ale trudno.

**FS** – *To byłby ten taki mechanizm zapalający. Nigdy nie wiadomo, co powoduje spięcie. A to, co pobudza, nie musi być nawet cegiełka tego, co powstanie.*

**WI** – Myślę, że najważniejsza jest niezbadana jeszcze przez naukę podświadomość. Zbieramy to wszystko, trzymamy, niezależnie od nas i nagle podświadomość pozwoli nam spojrzeć refleksyjnie w tę ciemnię i stamtąd wydobywamy to nowe. Powiedzmy matematyk może wtedy stworzyć jakąś teorię, filozof – jakąś myśl, a poeta – nowy wiersz. Jeżeli kiedyś rzeczywiście zbadana zostanie podświadomość, to ułatwiona będzie nawet twórczość literacka.

**FS** – *Chcesz powiedzieć, że przez jakiś mechanizm, przez jakąś chemię, można będzie dotrzeć świadomie do podświadomości i użytkować ją na jakimś polu z pewna dyscypliną.*

*Czy Ty pisząc próbujesz technikę świadomie udoskonalić, zmieniać unowocześniać?*

**WI** – Zmieniam, ale chyba nieświadomie. Po prostu powstaje jakiś nowy zlep…Inną technikę muszę wyrazić innym językiem.

Ale ten język nieustannie się zmienia…Jestem tego świadomy…Język jest niby ten sam, ale jakoś bardziej się zagęszcza, streszcza…Zdania staja się bardziej hermetyczne…I w tym języku zaczynam pisać. Naturalnie, nie robię tego krańcowo, nie piszę tak, jak Miron Białoszewski czy inni jeszcze eksperymentujący pisarze…

**FS** – *Nie martwi cię, ze siedzisz w Kanadzie i  że język ten staje się jakiś specyficzny, że ktoś w Polsce przeczyta i oświadczy, ze tekst powstał poza granicami Kraju?*

**WI** – Jeżeli to wyczują, to moja wina. Ja siedzę w lekturze polskiej. Wydaje mi się, że siedząc i pracując tutaj, mam dom w Polsce, a nie w Kanadzie. Nie jest on na Emigracji. Jest na Emigracji dopiero, kiedy ludzie zaczną telefonować i opowiadać, co się dzieje. Z chwilą, kiedy czytam i piszę, to ten dom jest w Polsce a nie w Kanadzie, nie jest w Polonii, ale wśród Polaków w Polsce.

**FS** – *Żyjemy tu, a nie tam i nasze kontakty z Polakami z Kraju są ograniczone…*

**WI** – Naturalnie. Bo tych kontaktów z Polonią jest więcej. Ale przede wszystkim, lektura. Mamy dopływ książek i ta lektura oddziela nas od tego, co się dzieje tu, od tego języka polonijnego, martwego.

**FS** – *A czy z kolei nie zagraża nam puryzm językowy?*

**WI** – Możliwe, ale im też grozi zaśmiecenie języka. Wolę być purystą, wole już przesadną dbałość o poprawność, niż mieć te wszystkie naleciałości, które teraz są w Polsce, te wszystkie „kompatybilności" i ci „decydenci" używane nawet w poezji.

**FS** – *I tu i tam, wszystkim nam grozi to samo niebezpieczeństwo. Ale trudno, to już zależy od naszego wyczulenia, naszej kontroli i asymilacji języka polskiego. Od nas zależy, aby uniknąć przesadnego i puryzmu i nierozsądnego współczesnego makaronizowania.*

*Naturalna tendencją każdego języka jest dążność do ekonomii, do skrótowości. Miejmy nadzieję, że ten mechanizm regulować będzie także rozwój języka polskiego i teraz i w przyszłości.*

Można by dopatrzyć się w tym szansy dla poezji. Myślę, że należy wierzyć w naturalne tendencje obronne języka, w to coś, co przypomina instynkt samozachowawczy organizmu biologicznego. A gdyby jeszcze powstał mądry mecenat dla twórców, to perspektywy byłyby bardzo atrakcyjne…

**WI** – Ostrożnie, ostrożnie…Ja wolę być realistą…

*Florian Śmieja, „Siedem rozmów o poezji", Polski Fundusz*

*Wydawniczy w Kanadzie, Toronto 1990.*

_____

**Maria Kuncewiczowa – dwa  listy do Wacława Iwaniuka:**

1.

The Garden Cottage, Private Road 40, Wheatley Road, Old Westbury, Long Island.

20.X.55.

Drogi Panie,

mam nadzieję, że już doszły rąk Pana materiały prasowe, a także 2 książki, które już dość dawno temu „Rój" wysłał pod adresem Mary Schneiderowej: *„The Conspiracy of the Absent"* i *„The Forester"*.

Cieszę się, ze niedługo Pana zobaczę po tylu latach i będę mogła osobiście podziękować za jego wielką życzliwość i trudy w związku z moim przyjazdem do Toronto.

Ze swojej strony robię co mogę, żeby dobrze przygotować

odczyt. Przed chwilą wróciłam z N. Jorku gdzie przez 3 dni siedziałam kamieniem w bibliotece, czytając i odświeżając w pamięci wzruszenie Mickiewiczowskie. Ciągle jeszcze nie wiem jaki ma być temat odczytu na Uniwersytecie. Myślałam, że także o Mickiewiczu, tylko po angielsku. Chciałabym specjalnie zająć się Konradem Wallendrodem i Wallenrodyzmem jako zapowiedzią *double think'u* Orwellowskiego i Miłoszowego *Ketmanu*. Ale wolę, żeby tytuł nie był zacieśniony do szczegółowego tematu: wystarczy chyba *„On the subject of A. Mickiewicz".*

Przemówienie rocznicowe chcę głównie oprzeć na *„Dziadach"* i przemianie Gustawa w Konrada, co jest przypomnieniem zawsze aktualnem, a szczególnie w dobie Freudowskiego rozwiązywania kompleksów. Proszę jednak nie myśleć, że na obchodzie listopadowym będę się zagłębiała w analizy psychologiczno – literackie – sądzę, że im prościej sprawę potraktować, tym lepiej. Chodzi mi tylko o to, żeby się ograniczyć do jakiegoś jednego aspektu, bo całości Mickiewicza nie można wtłoczyć w ramy przemówienia.

Proszę o słówko wiadomości, co do pogadanki mickiewiczowskiej. Co do spotkania z dziennikarzami, to raczej chyba powinnam odpowiadać na pytania, niż „trzymać mowę".

Serdeczne pozdrowienia M. Kuncewiczowa

WHEATLEY 5-0002.

THE GARDEN COTTAGE,
PRIVATE ROAD 40,
WHEATLEY ~~HILLS~~ ROAD,
OLD WESTBURY,
LONG ISLAND.

20.X.55.

Drogi Panie,

mam nadzieję, że już doszły rąk Pana materyały prasowe a także 2 książki, które dość już dawno temu Rój wysłał pod adresem Mary Schneiderowej: The Conspiracy of the Absent i The Forester.

Cieszę się, że niedługo Pana zobaczę po tylu latach i będę mogła osobiście podziękować za Jego wielką życzliwość i trudy w związku z moim przyjazdem do Toronto.

Ze swojej strony robię co mogę, żeby dobrze przygotować odczyt. Przed chwilą wróciłam z N. Yorku gdzie przez 3 dni siedziałam kamieniem w bibliotece, czytając i odświeżając w pamięci wzruszenia Mickiewiczowskie. Ciągle jeszcze nie wiem jaki ma być temat odczytu na Uniwersytecie. Myślałam, że także o Mickiewiczu, tylko po angielsku. Chciałabym

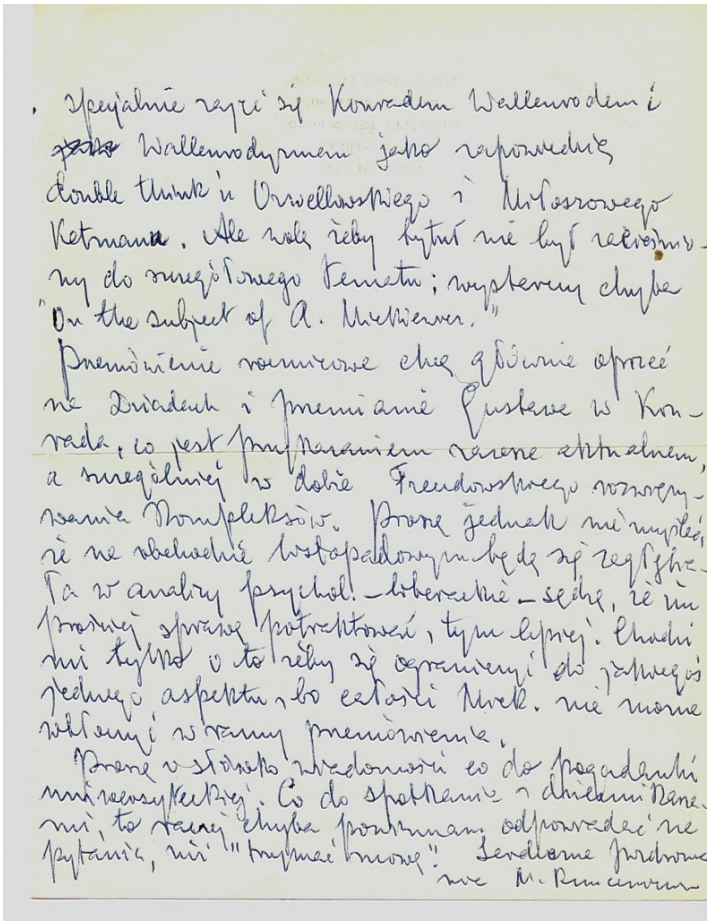

2.

The Garden Cottage, Private Road 40, Wheatley Road, Old Westbury, Long Island.

25.XI.55.

Drogi Panie, wróciłam dopiero wczoraj po b. udanym pobycie w Montrealu i Quebeck'u. Jestem zmęczona, ale b. zadowolona. Spieszę Panu podziękować za Jego trudy i życzliwość. Szczerze się cieszę, ze miałam okazję Pana poznać, ale uważam, że właściwie wcaleśmy nie pogadali na tematy prawdziwie

interesujące, taka była (…) Ulica w tem miłem skądinąd Toronto.

Będę wkrótce mówiła do radia Free Europa o mojej kanadyjskiej wycieczce i nie omieszkam wspomnieć naszego spotkania. Chcę też napisać artykuł do „Wiadomości” w formie listu do St. Balińskiego i tam też o Panu oczywiście nadmienię. Ale ten artykuł, to jeszcze nie zaraz, bo jestem zawalona pracą terminową przed Świętami. Co się jednak odwlecze, to nie uciecze.

We wszystkich wywiadach prasowych i radiowych w Montrealu i Quebeck’u mówiłam o rocznicy Mickiewiczowskiej i o Kongresie Polonii Oddz. Toronto.

Proszę się nie gniewać jeśli nie ze wszystkimi, czy nie dość się widziałam, ale Pan chyba wie w jakim gwałcie się żyło na Lawton Bld. i jak szybko zleciał ten tydzień.

Proszę o mnie nie zapomnieć przy bytności w N. Jorku.
Serdeczne pozdrowienie! M. Kuncewiczowa.

WHEATLEY 5-0002.

THE GARDEN COTTAGE,
PRIVATE ROAD 40,
WHEATLEY ~~[illegible]~~ ROAD,
OLD WESTBURY,
LONG ISLAND.

25. XI. 55

Drogi Panie, wróciłam dopiero wczoraj po b. udanym pobycie w Montrealu i Quebec'u. Jestem zmęczona, ale b. zadowolona. Spieszę Panu podziękować za Jego trudy i życzliwość. Szczerze się cieszę, że miałam okazję Pana poznać, ale uważam że właściwie wcale śmy nie pogadali na tematy prawdziwie interesujące, taka była Zarwańska Ulica w tem miłem skądinąd Toronto.
Będę wkrótce mówiła do radia Free Europe o mojej kanadyjskiej wycieczce i nie omieszkam wspomnieć naszego

spotkania. Chcę też napisać artykuł do Wiadomości w formie listu do St. Balińskiego i tam też o Panu oczywiście nadmienię. Ale ten artykuł, to jeszcze nie zaraz, bo jestem zawalona pracą terminową przed Świętami. Co się jednak odwlecze, to nie uciecze.
We wszystkich wywiadach prasowych i radiowych w Montrealu i Quebec'u mówiłam o rocznicy Mickiewiczowskiej i o Kongresie Polonii Oddz. Toronto.
Proszę się nie gniewać jeśli nie ze wszystkimi, czy nie dość się widziałam, ale Pan chyba wie w jakim gwałcie się żyło na Lawton Bld, i jak szybko zleciał ten tydzień.
Proszę o mnie nie zapomnieć przy bytności w N. Yorku. Serdeczne pozdrowienia!
M. Kuncewiczowa

---

**Wacław Iwaniuk**

Urodził się 17 grudnia 1912 roku w Chojnie Starym pod Chełmem. Po ukończeniu Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Chełmie odbył studia wyższe na wydziale prawno-ekonomicznym Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie specjalizując się w zagadnieniach emigracyjno-kolonialnych. Debiutował jeszcze w Chełmie w młodzieżowym piśmie „Spójnia" wierszem „Śmierć", choć właściwy, „dorosły" debiut nastąpił w roku 1933 w czasopiśmie „Kuźnia Młodych" (nr 11). W tym samym roku otrzymał pierwszą nagrodę w konkursie poetyckim pisma. Po przeniesieniu się do Warszawy przez czas jakiś mieszkał u słynnej Rózi przy ulicy Dobrej 9, wspólnie z poetami S. Piętakiem i H. Domińskim. Zbliżył się wtedy do Józefa Czechowicza, pozostając przez dłuższy czas pod urokiem jego poezji. Przed rokiem 1939 zamieszczał wiersze w czasopismach: „Kamena" (1934-1938), „Miesięcznik Literatury i Sztuki" (1934-1936), „Okolica Poetów" (1935-1938), „Zet" (1935-1937), „Kultura" (1936-1937), „Kurier Poranny" (1936-1938) i „Zwierciadło" (1937-1938). Wiersze te złożyły się na dwa zbiory: dobrze przyjętą przez krytykę *Pełnię czerwca* (Chełm 1936) oraz arkusz poetycki pod redakcją Czechowicza pt. *Dzień apokaliptyczny* (Warszawa 1938).

W styczniu 1939 roku po ukończeniu studiów uzyskał stypendium Funduszu Kultury Narodowej i z ramienia MSZ wyjechał na praktykę konsularną do Buenos Aires. Po wybuchu II wojny światowej wrócił do Europy i w grudniu 1939 roku zgłosił się na ochotnika do wojska polskiego we Francji. Dostał przydział do Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich, z którą walczył pod Narwikiem. Za kampanię norweską otrzymał odznaczenia francuskie i angielskie. Po kapitulacji Francji usiłował przedostać się przez Hiszpanię do Wielkiej Brytanii. Aresztowany przez hiszpańską żandarmerię został osadzony w obozie Miranda de Ebro, skąd zbiegł i dotarł do Gibraltaru. W początkach 1940 roku ewakuowany do Anglii wstąpił do polskich sił zbrojnych w Szkocji. W 1944 roku odbył szlak bojowy wraz z 1. Dywizją Pancerną im. gen. Stanisława Maczka, przez Francję, Belgię, Holandię i Niemcy. Za udział w walkach pod Falaise otrzymał Krzyż Walecznych. Powstałe w czasie wojny utwory poetyckie publikował w prasie wojskowej: „Polska Walcząca” (1943-1944) i „Defilada” (1945). W 1950 roku zebrane zostały jako osobny zbiór w paryskiej „Kulturze”.

W 1946 roku Iwaniuk powrócił z kontynentu do Anglii i podjął studia w Cambridge. Zdemobilizowany w 1948 roku wyjechał do rodziny do Kanady. Początkowo mieszkał w Edmonton, później przeniósł się do Toronto podejmując pracę w rzeźni, a następnie pracując jako urzędnik w Ministerstwie Sprawiedliwości rządu prowincji Ontario i jako tłumacz przysięgły. W 1951 roku założył

w Toronto klub literacko-artystyczny pod nazwą Konfraternia Artystyczna „Smocza Jama”. Coraz liczniejsze wiersze, artykuły, recenzje literackie oraz przekłady poezji anglojęzycznej publikował w czasopismach emigracyjnych: „Kultura” (od 1950) „Wiadomości” (od 1950), „Związkowiec” (od 1956), „Kontynenty” (od 1961), „Tematy” (od 1963), „Oficyna Poetów” (od 1966), a także „Gwiazda Polarna”, „Pamiętnik Literacki”, „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” oraz „Archipelag”. Otrzymał wiele nagród literackich m.in. paryskiej „Kultury” (1964), Fundacji A. Jurzykowskiego (1968), Fundacji im. Kościelskich (1971), „Wiadomości” (1975), Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie (ZPPnO 1979), Fundacji im. Wł. i Nelli Turzańskich (1988). Był członkiem ZPPnO, do 1986 jury londyńskich „Wiadomości” i komitetu doradczego Fundacji A. Jurzykowskiego w Nowym Jorku. Od 1980 roku publikował w kraju w czasopismach drugiego obiegu („Zapis” i „Arka”) oraz w prasie katolickiej: „Więź” i „Tygodnik Powszechny”. Po roku 1990 współpracował z krakowską dekadą literacką i rzeszowską „Frazą”.

Wacław Iwaniuk opublikował ponad 20 tomów poetyckich (m.in.: *Milczenia*, *Ciemny czas*, *Lustro*, *Nemezis idzie pustymi drogami*, *Nocne rozmowy*, *Moje strony świata*, *Zanim*

znikniemy w opactwie kolorów (Kraków 1991), Wiersze wybrane (Toronto1995). Po angielsku wydał wiersze: *Evenings on Lake Ontario* (Toronto 1972) oraz Dark Times (1979). Z jego książek

prozatorskich należy wymienić: *Podróż do Europy. Opowiadania i szkice* (Londyn 1982) oraz *Ostatni romantyk. Wspomnienie o Józefie Łobodowskim* (Toruń 1998). Zajmował się również twórczością translatorską, tłumacząc poetów amerykańskich i kanadyjskich. W 1995 roku ukazał się wybór listów J. Wittlina, K. Wierzyńskiego i A. Janty do W. Iwaniuka pt. *Samotność słowa* (Lublin 1995).

Prawie całe swoje archiwum Wacław Iwaniuk podarował toruńskiemu Archiwum Emigracji w roku 1998. Niewielki fragment korespondencji oraz rękopisy otrzymał Henryk Wójcik. Archiwum przesłane do Torunia zawierało również fragment księgozbioru (większość biblioteki otrzymało sandomierskie Muzeum Literatury), a także kilka prac malarskich i rysunków Józefa Czapskiego, Jana Lebensteina, Nikifora, Krystyny Sadowskiej i innych.

*Na podstawie materiałów Archiwum Emigracji, Toruń*

# Skrzypienie osi świata. O poezji Feliksa Netza.



fot. Agencja Gazeta

**Edward Zyman**

Gdy po raz kolejny odłożyłem *Krzyk sowy* na biurko, gdzie leżały cztery inne książki poetyckie Feliksa Netza, do których w ostatnich dniach również wracałem po wielekroć, uświadomiłem sobie, że oto przeczytałem nie kolejny, ostatni już tom w dorobku pisarza, lecz jego poetycką spowiedź. Rodzaj testamentu i zarazem przesłania, adresowanego do jego czytelników, których śmierć jeszcze śpi, zwodząc ich swą obojętnością, a może nadmiarem pracy. I dlatego nieskorych do boleśnie szczerych rozmów, które wcześniej czy później muszą ze sobą przeprowadzić. Zadać sobie kilka podstawowych, rudymentarnych pytań: o sens ich ziemskiej wędrówki. Feliks Netz chciał i zdążył – dla siebie i dla nas – pytania te sformułować.

**1**

*Krzyk sowy* to niewątpliwie najważniejszy obok *Trzech dni nieśmiertelności* tom poetycki Feliksa Netza. Ze względu na zakres i gęstość zawartych w nim problemów, a także artystyczną precyzję i moralną żarliwość ich ekspresji jest tematem sam w sobie, lecz równocześnie stanowi ważne ogniwo w całościowym obrazie dokonań tego pisarza. Można go czytać,

jako książkę oddzielną, i tak zapewne wielu uczyni, ale lepiej, z większym pożytkiem – dla czytającego i dla autora – przyswajać zawarte w nim piękne i mądre wiersze w kontekście szerszym. Uwzględniającym inne dzieła Netza, takie przede wszystkim jak powieści *Urodzony w święto zmarłych* i *Dysharmonia caelestis*, wspomniany tom *Trzy dni nieśmiertelności* (a także zbiory wcześniejsze, zwłaszcza *Wir*) i nade wszystko eseistyczny zbiór *Ćwiczenia z wygnania*. Dopiero wówczas, odnajdując wspólne tropy i wątki, wyłapując kontekstualne związki, w jakie wchodzą z sobą te książki, a także słuchowiska radiowe (myślę tu przede wszystkim o znakomitym *Pokoju z widokiem na wojnę polsko-jaruzelską*), krytyka filmowa i teksty publicystyczne, ujrzymy w pełnym kształcie najważniejszy dylemat konstytuujący pisarstwo Netza, zwłaszcza zaś jego fazę ostatnią. Ów dylemat to odnajdywanie przez pisarza swojej – jako człowieka i artysty – tożsamości oraz artykulacja, przytoczę w tym miejscu niezwykle trafne określenie Jarosława Marka Rymkiewicza: *świadectwa tutejszego istnienia*.

Określenie to, zastosowane do powieści *Urodzony w święto zmarłych*, przystaje także do pozostałych wymienionych przeze mnie książek. Tutejszego, czyli dotyczącego Górnego Śląska, głównie Katowic, w krótkim epizodzie tyle aroganckiej, co bezmyślnej historii nazwanych Stalinogrodem. Ale można i trzeba je rozumieć również szerzej – jako doświadczenie każdego myślącego mieszkańca PRL, odczuwającego na co dzień skutki

opresyjnego uścisku autorytarnej władzy, a także innych krajów środkowej Europy, doznających dotkliwych konsekwencji pojałtańskiego porządku.

W tomie *Ćwiczenia z wygnania* szczególną uwagę zwraca esej „Stary człowiek z San Diego". W jego części zatytułowanej „Morfologia wygnania" Netz przytacza słowa Sándora Máraia, który w swoim *Dzienniku* pod datą 1 maja 1948 roku zanotuje: „Miasto [Budapeszt – E. Z.] pływa w czerwonym soku. Nad bramami domów portrety Marksa, Lenina, Stalina, Táncsicsa, Kossutha, Petőfiego, Gerő i Rajka". I tłumaczy, dlaczego rychły emigrant zatrzymuje wzrok na takich właśnie scenach:

> Bo obrażają jego poczucie smaku. Stalin obok Kossutha. To usłużna głupota. Ale Gerő obok Petőfiego – to coś gorszego. To wielka nieprzyzwoitość. To jest, jakby powiedział Josif Brodski: 'dowód na wulgarność serca'. Dalej żyć z tym nie sposób. Jeszcze można szukać oparcia w wisielczym humorze, jeszcze można uciec się do pointy rodem z teatru absurdu, ale pod tymi paroma zdaniami kryje się wstrząsające doznanie etycznego kiczu. Są ludzie, którzy nie potrafią żyć pod panowaniem wszechwładnego kiczu.

Należał do nich Feliks Netz. Ale w przeciwieństwie do Máraia, żył w kraju monstrualnego kiczu, nie biorąc nigdy w rachubę

możliwości emigracji. Zbyt silnie czuł się związany z odzyskaną niejako prywatnie ojczyzną, by miał z niej zrezygnować nawet w sytuacji najtrudniejszej. Żył więc i – mówi o tym jego twórczość – płacił za to ogromną cenę. Tym bardziej, że jego nieprzeciętny, wszechstronny talent pisarski, a pewnie także zrozumiałe u pisarza, dla którego podarowany przez matkę i historię język znaczył tak wiele, nie pozwalały mu na bohaterskie outsiderstwo. Przez długie lata pozostawała mu jedynie *nauka języków obcych które wyszły z obiegu / jako śmiała manifestacja absolutnej niezależności*. A to bolało go jeszcze bardziej.

Pierwsza, narzucająca się refleksja podczas lektury *Krzyku Sowy*, a także, w różnym stopniu, tomów wcześniejszych: na tę poezję napiera świat zewnętrzny: historia i dzień dzisiejszy, przeszłość i to, co znajdujemy na wyciągnięcie ręki, a więc fakty, zdarzenia, postaci, sytuacje. Słowem konkret. Rozpoznawalny, wyrazisty. Będący przejawem determinującego nas świata realnego, lecz również wykreowany przez wyobraźnię artysty. Mówiący o współczesności, bliższej i dalszej historii Polski, ale także Węgier („Węgierski syndrom" z tomu *Wir*) i Rosji („Niech bestia zdycha", wstrząsający poemat o śmierci ostatniego cara imperium i jego rodziny z tomu *Trzy dni nieśmiertelności*). Netza inspiruje – i wywołuje w nim potrzebę dialogu – nie tylko społeczna empiria, historia i polityka, ale także film, literatura, malarstwo, czyli przekaz zawarty w kulturze. Poza tym kontekstem – mówią jego wiersze i proza – nade wszystko zaś poza pamięcią, jako ludzie,

nie istniejemy.

## 2

Śmierć pisarza otwiera nową perspektywę. Zamknięte dzieło pozwala, co więcej: domaga się całościowego oglądu. W przypadku twórczości Feliksa Netza – poety, powieściopisarza, eseisty, tłumacza, autora słuchowisk radiowych, krytyka literackiego i filmowego, felietonisty i publicysty ma to szczególne znaczenie. Dziś widać wyraźnie, że jest to twórczość – przy jej bogactwie i imponującym zróżnicowaniu gatunkowym – w pewien sposób niezwykle jednorodna, skupiona na kilku węzłowych problemach, do których autor nieustannie powraca. Czyniąc to zresztą w charakterystyczny sposób. To, co w *Związku zgody* (1968) i *Z wilczych dołów* (1973) ma postać tropów o dużym stopniu ogólności, swoistych archetypów, które definiują egzystencję jednostki i wspólnoty w wymiarze uniwersalnym, w wierszach późniejszych, zwłaszcza tych, które złożą się na *Trzy dni nieśmiertelności* (2009) i *Krzyk sowy* (2014) jest poetycką transformacją materii par excellence historycznej – dramatycznych wydarzeń bliższej i dalszej przeszłości.

Przytoczmy pierwszy z brzegu przykład. W tomie *Z wilczych dołów* poeta w wierszu „Sny polskie” napisze:

*o władztwo mundurów parzonych w obłoku*

*naftaliny przelot orłów przez srebrne guziki*

*wiatr w przestrzelonej głowie*

*hula pomiędzy jedną rocznicą a drugą*

by w tym samym wierszu stwierdzić:

*sny polskie tym się różnią od snów innych ludów*

*że nie śpi nawet w zabitym umarły*

*drży jak karabin*

*pod czujną stopą zaczajony w ziemi*

*oczekujący na znak*

Uważny czytelnik tych wersów nie miał wątpliwości, że Netz pisze o tragedii katyńskiej, choć słowo to w początkach lat 70. w tekście poetyckim pojawić się nie mogło; było wymazane ze zbiorowej pamięci, skazane na wieczną – wydawało się wówczas

– banicję. I dlatego – w wierszu „ogarnia nas smutek” – poeta pisał o smutku na *planecie gdzie nawet wiersz wolny jest więzieniem*. Ale już wówczas tkwił w nim przemożny imperatyw, którego uchylić nie chciał i nie mógł. Mówi o tym wiersz „nie znasz mnie”, który kończy znamienne wyznanie: *zacząłem dziś mówić z sobą bez kłamstw / jak z ostrym błyskiem słońca na szybie / w godzinę śmierci*. I miał do tego prawo. Wynikało ono nie tylko z uwierającej go świadomości, że pisze *ulotne wiersze*, czyli wiersze niedocierające do miąższu, istoty życia, lecz także z deklarowanej w poetyckim języku woli: *jest tylko jedno wyjście chłopcy gdyż / o drugim nie pomyślał dotąd nikt: / z żelaznym listem gończym / skroś łańcuchy i ozdobne obroże / w czarną przyszłość wiersza białego jak do kniei / rozstrzelonego / druku / iść trzeba bo już się sypie pierwsza młodzieńcza / sierść.* Jak można i należy rozumieć te słowa? Na tak postawione pytanie, odpowiada sam autor *Wilczych dołó*w w cytowanym już wierszu „nie znasz mnie”:

*nie znasz mnie; nic nie wiem o tobie*

*kraj niskich gór i paru jezior jest naszym*

*polem martwym*

*mowa która nas karmi tylko języczkiem*

*uwagi; nie zbliża nas*

*mijamy się w trwodze jak ogień i dom*

Te słowa mówią dobitnie, że poeta miał świadomość redukujących sferę jego wolności ograniczeń. Ale nie tylko tego, także tkwiącej w nim niezgody na istniejący stan rzeczy, potencjalnego buntu, któremu wcześniej czy później będzie musiał dać wyraz. Wspominając po latach okoliczności powstawania powieści *Urodzony w święto zmarłych*, w rozmowie z Marianem Sworzeniem zatytułowanej „Zbójecka iskra" (zamieszczonej w tomie *Ćwiczenia z wygnania*) powie:

> To Miasteczko [Lubań – E.Z.] wprowadzałem kilkakrotnie do moich książek, wcześniej były to jednak gesty sentymentalne, to, co najważniejsze, było 'nie do ugryzienia' w PRL-u. *Urodzonego w święto zmarłych* zacząłem pisać w połowie lat siedemdziesiątych, nie myśląc o wydaniu książkowym. Nie jestem pewien, czy zamierzałem rzecz zakończyć, w każdym razie nie pamiętam żadnego 'ciążenia ku końcowi'. Po prostu pisałem. To pisanie było dla mnie

> czymś w rodzaju rytualnej kąpieli, wiedziałem, że sam nie jestem bez grzechu, że i do mnie tamten peerelowski brud się przylepił. Byłem dziennikarzem, pracowałem do połowy lat sześćdziesiątych w katowickim radiu, w śląskim tygodniku „Panorama”, i jeśli nawet pisząc teksty dziennikarskie ważyłem każde słowo, jeśli nawet wyznaczałem sobie granicę, której nie wolno mi było przekroczyć, a tę granicę wyznaczałem w sobie, we własnym sumieniu, i jeśli moi koledzy kilka razy byli świadkami, jak, ryzykując tak zwaną karierę, powiedziałem ‘nie’, to przecież zdawałem sobie sprawę, że choćbym nawet zachowywał się przyzwoicie, fakt pozostaje faktem: pracuję w koncernie pezetpeerowskim. Nie uważałem, że służę złu, ale wiedziałem, że nie tak miało wyglądać moje życie. Byłem człowiekiem obolałym.

To ważne wyznanie w ustach pisarza, który jako człowiek stanął przed jednym z najbardziej dramatycznych wyborów: wyborem narodowej tożsamości. Pochodząc z polsko-niemieckiej rodziny, podjął decyzję o przynależności do kultury polskiej, kultury matki, która w decydującym momencie wybrała nie Niemcy, kraj rodzinny męża, lecz Polskę. Mógłby ktoś powiedzieć, że o wyborze Netza-dziecka zadecydowały czynniki od niego niezależne: czas i matka. I rozwijając nasze rozważania, bylibyśmy uprawnieni do zadania kolejnego pytania: czy gdyby w

tamtym momencie był starszy i bardziej samodzielny, gdyby, inaczej mówiąc, mógł decydować o swoim przyszłym losie, stanąłby po stronie matki, czy ojca? Kwestię tę rozstrzyga równie artystycznie znakomity, co przejmujący wiersz „Ojciec”:

*lubił czytać Kancjonał w staroniemieckim*

*przekładzie, po polsku nie przeczytał ani*

*jednej książki, gramatykę polską uważał*

*za diabelskie sztuczki, polską ortografię*

*znieważał każdym zdaniem napisanym*

*po polsku, nie szczędził mi nauk w rodzaju:*

Schechte Kammeraden flieh, wie die

Pest so schaden sie *(uniósł lewą brew,*

*słysząc mój przekład ad choc: z wrednymi*

*koleżkami nie kumaj się, bo zaszkodzą*

*ci jak dżuma), liczył po niemiecku*

To jeden z wielu przykładów potwierdzających, że Netz, jako człowiek i pisarz, zbliżał się do polskości „od zawsze", z wewnętrzną determinacją, wytrwałością i uporem. I co najważniejsze: z pełną świadomością dokonywanego wyboru. I właśnie ta potęgująca się z wiekiem świadomość, że przy nieco innym obrocie rodzinnego losu mógł zostać Niemcem sprawiała, że polskość była dla niego szczególnym wyzwaniem życiowym. W wywiadzie, którego udzielił Wojciechowi Kassowi (*Coś nam nie wyszło, coś się nie udało*, „Topos" 2014, nr 5) powie o tym tak: „Musiałem w sobie, w swoim ciele, w swojej duszy zbudować Polskę jak katedrę. Czy musiałem? Chciałem. Takie postawiłem zadanie sobie, całemu mojemu życiu". Tym bardziej bolało go to, co otrzymywał w zamian – ideologizację życia publicznego, nieautentyczność słów i gestów, podwójną moralność, tę manifestowaną na zewnątrz i tę stanowiącą jej zaprzeczenie, którą ujawnić mógł jedynie wśród najbliższych, a w skrajnych przypadkach – wyłącznie przed samym sobą. Wiązała się z tym konieczność stosowania zasady mimikry, przywdziewania cudzej skóry, życia na co dzień w poczuciu zakłamania i fałszu.

Dramatyczny, dotkliwy rozziew między tym, co autentyczne i tym, co zmyślone oraz związany z tym głód prawdy, wartości nie

tyle poddanej najbardziej drastycznej reglamentacji, co cynicznie wyrugowanej z przestrzeni publicznej przez pokraczny slogan musiały prowadzić do sytuacji granicznych. Po nocy z 12 na 13 grudnia 1981 (zwłaszcza zaś po tragicznej śmierci górników kopalni „Wujek", do której powrócę za chwilę) podmiot tej poezji, żyjący w kraju, w którym *W końcu i śnieg utracił dziecięcą niewinność / gdy z chrzęstem przeszło po nim czarne ptactwo*, nie mógł zatrzymać się w pół drogi. Sugestywny przekaz w tej mierze przynosi wiersz „Przepaść" z wydanego w 1985 roku tomu *Wir*:

*chciałem ułożyć się z wierszem*

*pomiędzy okładkami nieba i ziemi*

*z dala od imperiów*

*z palcem bożym na zaciśniętych ustach*

*a runął*

*w przepaść tej kartki*

*na kamienne dno jej sumienia.*

Poezja Netza nie mogła już dłużej milczeć (choć nigdy nie była niema), salwować się ucieczką w bezpieczne rewiry wyobraźni, musiała opuścić *katedrę kłamstwa*, którą zwiedzał jej bohater *oklaskując jego [kłamstwa] precyzję i chłód*. Przyszedł bowiem moment, w którym skończyło się *życie na niby*. W wierszu „Wilki" z tego samego tomu poeta sygnalizuje ową konieczność jeszcze dobitniej:

*Suchą stopa przeszedłem przez morze atramentu*

*aby utonąć*

*w kropli krwi.*

*Nie ma odwrotu:*

*oko za oko,*

*krew za wiersz.*

## 3

Po wieloletnim flircie z Muzą (polegającym na mnożeniu *ulotnych wierszy*, ale także prozy w rodzaju konkursowej powieści *Biała gorączka*) poeta uświadomił sobie potrzebę, więcej: konieczność weryfikacji własnej postawy (*Słowa, które chciałbyś odwołać*), bo *nadeszła stosowna, czyli najwyższa pora / korekty życiorysu; / nie dla szczęśliwych układów / na obrotowej scenie zdarzeń, ale / w bezwzględnej samotności, / w godzinie wilków / na krótko przed otwarciem więziennej bramy dnia / kiedy wyostrza się wewnętrzny słuch, / a jasnowidzenie jest po prostu jasnym widzeniem (…).* Owym granicznym momentem, który przemienił Netza-Gustawa w Netza-Konrada była wspomniana śmierć dziewięciu górników kopalni „Wujek". Przebudzenie, jak mówi Netz w tytule jednego z wierszy, nastąpiło w połowie lat osiemdziesiątych. To wówczas, gdy w wierszu pisanym *do siebie* ich śmierć podniósł z ziemi jak kromkę chleba zrozumiał, że

*wiersz to jest klucz*

*od sumienia*

*wyrzucony ukradkiem*

*przez zakratowane okno*

Ale widzieć i rozumieć, nie znaczy jeszcze uzyskać wewnętrzne uspokojenie. „Odwołanie" niektórych słów w gruncie rzeczy o niczym nie rozstrzyga. Sens cytowanego wcześniej wiersza („Okresowy przegląd") nie wyczerpuje się na zasygnalizowanym imperatywie moralnym. Otóż okazuje się, że jego spełnienie niczego nie jest w stanie zmienić. Mówi o tym zamykający dwuwers: *Ale to już bez znaczenia, / bo i tak nigdy nie zaznasz spokoju.* Kto jest adresatem tych słów i kto konkretnie nie zazna spokoju? Wspomniany podmiot liryczny? Feliks Netz? A może współczesna poezja (literatura) polska? Myślę, że prawdziwe są wszystkie trzy odpowiedzi. Bo wydany w 1985 roku *Wir* jest rozrachunkiem z fałszywą świadomością, z idiomem nie tylko peerelowskiej rzeczywistości, także tej późniejszej, oddychającej (zdawałoby się) pełną piersią, bo i w tej dawnej, i tej obecnej słowa poety utraciły – z różnych powodów – swoje znaczenie. Kiedyś były zbyt ważne i niebezpieczne, więc poeci uciekali w język ezopowy, dziś błąkają się po peryferiach współczesności, są obiektem zainteresowania wyłącznie kolekcjonerów słownych błyskotek, czyli zabawnych, pozbawionych praktycznego zmysłu poetów.

Zresztą nie tylko o poetów tu chodzi. Współczesność wypiera autentyk i oryginał, żywi się falsyfikatem, najważniejsze dla człowieka wybory moralne zastępuje taktyką, sfera wartości ustępuje przed gadżetem, rzeczą, rzeczywiste wyzwanie egzystencjalne – krótkotrwałym sukcesem, lub wręcz jego

namiastką. W takim świecie nie mówi się prawdy. Nikt jej nie oczekuje. Jest kłopotliwa, niewygodna, zbędna. Także historia. Podobnie jak tradycja, wielowiekowe budowanie narodowej wspólnoty, z jej blaskami i cieniami, ze słodyczą sukcesów i goryczą klęsk.

Jak stwierdziliśmy na wstępie tych rozważań, w poezji Netza nie ma na to zgody. W przywołanym wcześniej wywiadzie na pytanie Wojciecha Kassa, czy ma świadomość, że pisze o „historii", poeta odpowiada: „Broń Boże! To historia, czyli jakieś ciężkie granitowe bloki zdarzeń, spadają na mnie, czyli w moją prozę, w moje wiersze". I tak jest w istocie. Jego wiersze wypełnia tłum bohaterów rzeczywistych i fikcyjnych, utrwalonych na kartach dzieł literackich, w dramatach i filmach. Z jednej strony Hitler, Stalin, Gomułka i Nagy, Petőfi, Szekspir i Norwid, Czechow, Błok i Conrad, Czesław Miłosz i Sándor Márai, Kawafis i Herbert, Lisa Minelli, Zbigniew Cybulski i Ken Russel, Smoktunowski, Olivier, Tarkowski, Brook, Wajda i Kinski, Marek Hłasko, Zbigniew Cybulski, Tamara Wiszniewska, Edward Hopper, Jan Palach i niewymienionych z nazwiska dziewięciu górników kopalni „Wujek", zamordowanych w okresie stanu wojennego, koleżanki z klasy poety Marysia Buczek i Franciszka Karczmar, a obok nich, na tych samych prawach, Hamlet, Hiob, Akakij Akakijewicz i Iwan Denisowicz, bohaterowie powieści Molnara *Chłopcy z Placu Broni* – Nemeczek, Boka, Feri i Barabasz. To przykłady (nie wszystkie) z wydanego w 2009 roku tomu *Trzy dni*

*nieśmiertelności*.

Tom ostatni listę tę wzbogaca i wydłuża. Pojawiają się na niej postaci rzeczywiste – Chodasiewicz, Broniewski i „cały Skamander", Ingmar Bergman, Federico Fellini i Claudia Cardinale, Chrystus, Hrabina Sireń Dmitriewna Lebiediew, doktor Frnaz Krau i Luba Orłowa, rówieśnicy poety Zbyszek Żołądek, Włodek Popik i Ewa Panufnik, Anna Achmatowa, Racine, fotograf Max Rabe, Ulrika Meinhof i Adolf Hitler, Eugeniusz Bodo, Dołęga-Mostowicz i Elżbieta Szemplińska, poeta, gdy był kilkunastoletnim chłopcem i jego cioteczna babka, z którą w 1956 roku dotarł do Katowic (wówczas Stalinogrodu) z dalekiego Lubania, Gustaw Holoubek wcielający się w postać Fantazego na deskach Teatru Śląskiego, siostra Karina z katowickiego szpitala, kawiarnia „Kryształowa" i ulice 1 i 3 Maja, kino „Młoda Gwardia" i Dom Książki Radzieckiej, mord katyński 1940 roku i tragedia pod Smoleńskiem w 2010 – dramatyczny oddech współczesności. Równie tłoczno od postaci fikcyjnych, ale nie mniej „rzeczywistych", bo trwale wpisanych w polskie doświadczenia, często dramatyczne, bolesne, beznadziejne. Ano właśnie, zadajmy sobie, za poetą, to ważne pytanie. Czy rzeczywiście beznadziejne, a więc bezsensowne, poronione, stanowiące konsekwencję nieracjonalnych postaw wobec życia i historii?

Poezja Netza tego fundamentalnego problemu nie rozstrzyga,

jakby wiedząc, że na jawiące się tu pytania nie ma sensownej, możliwej do przyjęcia przez wszystkich odpowiedzi. Odpowiedzi tej musi udzielić sobie każdy indywidualnie, zgodnie z własnym sumieniem, wrażliwością, systemem elementarnych odczuć, przekonań i wyobrażeń. Wie natomiast, że nie może wobec naporu rzeczywistości, stojąc wobec jej natrętnej ingerencji w życie każdego z nas, teraz i w przeszłości, milczeć. Musi mówić, dobitnie i równocześnie z troską o artystyczną precyzję, by odnaleźć swoje miejsce w świecie. By być sobą. Nie bez powodu jednym z mott, którymi poeta opatrzył *Krzyk sowy* jest wypis z Wilhelma Diltheya: *Tylko historia może powiedzieć człowiekowi, kim jest*. Dlatego poezja nie może jej nie zauważać, ma wręcz obowiązek uczestnictwa. Tym bardziej, że *Człowiek dowiaduje się o końcu pewnej epoki, / pieląc grządki albo kupując ciepły sweter* („11.09.2001”). Wedle Miłosza koniec świata nastąpi, gdy z pozoru wszystko będzie normalne. Jak w zakończeniu „Piosenki o końcu świata” mówi siwy staruszek, który mógłby być prorokiem, ale nim nie jest, bo ma inne zajęcie, innego końca świata nie będzie. Netz, jakby w dialogu z Noblistą, ujmie to w ten sposób: *Ludzie mówili, że będzie koniec świata. / I jest. Tylko nie rzuca się w oczy* („Z księgi spełnionych wróżb”).

Czytając te świetne poetycko, żarliwe, istotne intelektualnie wiersze nie potrafimy wyzbyć się natrętnej myśli, że Netz „wymierzając sprawiedliwość widzialnemu światu”, prowadzi dialog przede wszystkim sam z sobą. Sięgamy po raz kolejny po

znakomity tom esejów *Ćwiczenia z wygnania* i w odczuciu tym upewniamy się, a raczej utwierdza nas w nim autor. W niezwykle ważnym dla zrozumienia postawy poety, przywołanym już wcześniej erudycyjnym eseju „Stary człowiek z San Diego" znajdujemy jego znamienne wyznanie. Przybliżając nam swoją fascynację twórczością węgierskiego emigranta, napisze: „Zastanawiam się, dlaczego bez wahania „poszedłem" za Sándorem Máraiem? Może dlatego, że odczuwałem wokół siebie, w kraju, także w samym sobie, deficyt niezłomności". Przypomnijmy, że poeta pisze o roku 1985, a więc roku, w którym wyszedł jego tom wierszy *Wir*, tom w pewnym sensie graniczny. Od chwili jego wydania Netz już nie tworzy tekstów *ulotnych*, a jego poezja jest ważkim artystycznie przykładem (użyjmy celnego sformułowania Przemysława Dakowicza) „umiejętności przekładania głębokiej refleksji historiozoficznej na język wiersza".

**4**

Niechaj to, co napisałem powyżej będzie zaledwie introdukcją, długim wstępem do dalszych rozważań o *Krzyku sowy*, tomu w zamkniętym dorobku Feliksa Netza pod każdym względem wyjątkowym. Zacznijmy od wiersza tytułowego. Zawarte w nim (już w tytule właśnie) odwołanie do szekspirowskiego dramatu jest tylko ekspozycją tego, co nastąpi później w trakcie narracji wiersza. Mówi ona o – chciałoby się powiedzieć – bestialskim,

lecz trzeba to nazwać słowem właściwym, a więc: ludzkim katowaniu sowy, która była świadkiem potwornego mordu. Poeta odsyła nas do zbrodniczego czynu Makbeta, ale równocześnie sygnalizuje, że przyświeca mu cel inny, jak najbardziej współczesny. „—wyłamano mi skrzydła i wykłuto oczy” brzmi pierwszy wers i już wiemy, że nie o Duncana tu chodzi, a jedynie (aż) o szekspirowską scenerię, która pozwala wydobyć grozę i mechanizm ponadczasowej zbrodni rodzaju ludzkiego. Sowa była niepożądanym dla Makbeta świadkiem. Tutaj pełni tę funkcję również, co jest wystarczającym powodem, by ją unicestwić. Przed śmiercią oprawca musi wszakże wydobyć z niej to wszystko, co wie, i czego nie wie. Czyli sowa musi przyznać się do win niepopełnionych, do których według oprawcy przyznać się winna. Bo winą jej jest samo istnienie w określonym miejscu i czasie. Czy coś nam to przypomina? Oczywiście. Jesteśmy w epicentrum współczesnej historii Polski. I chodzi tu nie tylko o tragiczne następstwa niemiecko-sowieckiej inwazji 1939 roku, Katyń (*kiedy znów usłyszycie mój krzyk, nie wiem / nie wiem, nie wiem, może wtedy, gdy Las Smoleński podejdzie / pod mury Kremla* —), Łubiankę i kazamaty Urzędu Bezpieczeństwa, opłacony ofiarami heroizm lat następnych, lecz także o przeklęte fatum wiszące nad nami po dzień dzisiejszy.

*Gdy kazałeś strzelać do swego narodu*

*pochowają cię z honorami na koszt państwa*

*Jeżeli zdradziłeś swój naród w zamian*

*za awanse i życie we względnym luksusie*

*pożegna cię zamiast plutonu egzekucyjnego*

*salwa kompanii honorowej*

*jeżeli całowałeś w usta tyrana i kata będziesz*

*spoczywał w chwale w alei zasłużonych*

*jeżeli pozwalałeś jawnie i skrycie mordować*

*księży, kapelan odprawi mszę za twoją duszę*

*jeżeli donosiłeś na swoich współbraci, zawsze*

*znajda się tacy, którzy nazwą cię chlubą ojczyzny*

Tytułowe „Ćwiczenia aksjologiczne” są bolesnym doświadczeniem już nie naszych poprzedników, lecz nas samych,

spożywających owoce trudnej i niebezpiecznej wolności. Tej wolności, w której prawda przebywa na permanentnym urlopie czy raczej wygnaniu. W której zrelatywizować, wyszydzić i ośmieszyć można wszystko. W poezji Netza nie ma na to zgody.

Tej zgody, mówią wiersze nie tylko *Krzyku sowy*, być nie może, jeżeli chcemy pozostać nie figurą medialną, lecz sobą.

Od momentu wydania tomu *Wir* (1985) do ukazania się *Trzech dni nieśmiertelności* (2009) upłynęło 25 lat. Ironizując, można powiedzieć, że Muza obraziła się na Netza. Prawda wydaje się być jednak daleko bardziej skomplikowana. Ta długa przerwa świadczy, sądzę, przede wszystkim o tym, jak bardzo Feliks Netz ważył słowo. Jak wielką przywiązywał wagę do swej poetyckiej misji. Skoro nie mogę, nie potrafię i nie chcę pisać *wierszy ulotnych*, staram się odtworzyć myślenie poety, muszę „odpowiednie dać rzeczy słowo". Inaczej mówiąc, muszę odnaleźć swój własny wiersz, który pozwoli mi wypowiedzieć to, co wypowiedzieć pragnę. I w takim kształcie, który będzie, nie tylko dla mnie, ważny i znaczący. Tom *Wir* otwiera wiersz „Wilki", w którym poeta wyjaśnia motyw swego wieloletniego milczenia:

*Latami nie pisałem wierszy.*

*To nie to, mówiłem, to nie to.*

*Bo czyż warto*

*rzeźbić w powietrzu,*

*budować z wiatru,*

*orać chmurę?*

*Nie. To nie to.*

Poezja Netza, gęsta od nieskrywanych emocji, ale nie histeryczna, jest nie tylko *świadectwem tutejszego istnienia*. Jest także apelem i ostrzeżeniem. Tak należy odbierać wiele wymienionych wierszy, zwłaszcza zaś „Barbarzyńców" – z tomu *Trzy dni nieśmiertelności* i „Barbarzyńców (2)" – z *Krzyku sowy*. O ile pierwszy z nich był sugestywną wizją przemocy, której sprawcami są niedookreśleni najeźdźcy, o tyle drugi mówi o barbarzyńcach, którzy znajdują się obok, na wyciągnięcie ręki. Przytoczmy jego odpowiedni fragment:

*To nie muszą być obcy ze wschodu, czy z zachodu,*

*południa, czy z północy, w pikielhaubach z żelaza*

*lub w szmacianych z czerwoną gwiazdą, nie muszą*

*obywać się bez samogłosek, ani przypinać byczych*

*rogów do czoła*

*nie muszą przyjść prosto ze stepów, gdzie myszy*

*polne zdychają z głodu, ani z zasobnych w zwierzynę,*

*miód leśny i poziomkowe polany borów szwarcwaldzkich,*

*ani z wiecznie kaszlących fiordów, ani ze zgiełkliwej,*

*zadymio*nej piwiarni;

*to mogą być swoi, z drugiej strony ulicy, a nawet*

*z twojej klatki schodowej, żona barbarzyńcy nie raz*

*pożyczyła u twojej żony łyżkę soli, a sam barbarzyńca*

*raz nawet grzecznie zapytał: „Przepraszam, czy u państwa*

*też wysiadło światło?*

*(…)*

*to wcale nie muszą być obcy, swój też potrafi strzelić*

*w tył głowy, wykopnąć spod twoich nóg pieniek, skrzynkę*

*lub stołek i śmiać się, wciąż słysząc twoje ostatnie słowa:*

*„Niech cię piekło pochłonie”, bo dobrze wie, że piekła*

*innego niż to, nie ma;*

Znajdujemy się w ciemnym jądrze współczesności. A to znaczy, że nie unikniemy pytań w rodzaju: co uczyniliśmy z tak trudno

odzyskaną wolnością? Jak spożytkowaliśmy jej wyśniony w snach wielu pokoleń dar? Kim jesteśmy dzisiaj, obywatele małego kraju w północnej części Europy?  Jest w dwu ostatnich tomach Netza wiele innych sygnałów, które świadczą o tym, że rzeczywistość nie sprostała rozbudzonym nadziejom, że ideał w sposób jaskrawy rozminął się z jego praktyczną realizacją. Stąd płynie gorycz przejmującego wiersza „Coś nie tak moja słodka ojczyzno” z tomu *Trzy dni nieśmiertelności*”, którego podmiotem jest… naród polski:

*Nie liczyłem na cud.*

*Ja chciałem tylko moja kochana, o tej*

*szarej godzinie między psem, a wilkiem,*

*kiedy ranne śpiewają zorze, kiedy wstaje żywioł*

*wszelki, pocałować cię w usta moja kochana*

*i wyjść na miasto; na jego dzikie pola,*

*chciałem zdjąć w pierwszym dniu wolności,*

*grymas wzgardy, cierpienia i drwiny z twojej*

*twarzy. Z twarzy Marka Hłaski. Znasz to*

*jego zdjęcie z niedopałkiem w zaciśniętych*

*wargach: to jest fotografia miłości ojczyzny;*

*Chciałem mówić z tobą tak szczerze, jak*

*rozmawia się ze źdźbłem trawy i z wiatrem,*

*z kurzem i z deszczem, z sarną i panterą, z bratem*

*(słońce) i siostrą (księżyc), chciałem tańczyć*

*Przed Ojcem Świętym i kardynałem jak tamten*

*wariat z Asyżu;*

*Tyle chciałem, moja wolna ojczyzno, nic więcej.*

Mówiliśmy dotąd o tym, że poezja Netza stanowi przekonujące artystycznie *świadectwo tutejszego istnienia*, lub, określając to inaczej, wysokiej próby transformację węzłowych zagadnień współczesności i historii na język wiersza. Ale to tylko część prawdy. Netz bowiem w swych poetyckich narracjach nigdy nie jest piewcą wyłącznie decydującej o życiu człowieka historii, co więcej, nie jest nim także wówczas, gdy o tragicznych zawirowaniach owej historii pisze. Obiektem najważniejszym jego każdego „narracyjnego" wiersza jest dramat jednostki, niezwykle sugestywny i poetycko pełny, w swej konstrukcji oryginalny. To poprzez jej doznania, rzeczywiste czy potencjalnie możliwe, Netz mówi o świecie, o jego drapieżności, małości i podłości. Ale mówi także o miłości. Gdyby autor *Trzech dni nieśmiertelności* nie napisał nic więcej, prócz kilku wierszy lirycznych, takich na przykład jak „Moja matka umiera", czy „Czarne i białe", przepiękny, wstrząsający liryk o nieogarnionym bólu czarnoskórego ojca po śmierci ukochanej córeczki, albo tych najbardziej osobistych, szpitalnych („Nocna cisza obowiązuje od 22.00", „Tu leży ten pan", „O północy") zapewniłby sobie miejsce na szczytach polskiej poezji współczesnej). Są w tych wierszach miejsca, które mówią o poetyckim geniuszu Netza, jego niezwykłej wrażliwości i kongenialnym smaku. To one podyktowały mu zakończenie wiersza, którego nie sposób zapomnieć. Podmiot liryczny, który obejrzał wcześniej pokazane mu przez współtowarzysza pracy zdjęcie córki, najniespodziewaniej dowiaduje się od ojca, że mała

nie żyje.

*jeszcze raz spojrzałem na fotografię*

*dziewczynka miała zaciśnięte ciemnoniebieskie*

*wargi, jej oczy patrzyły na mnie*

*z nieprzeniknioną powagą*

*falowało nagrzane powietrze, na białej*

*i czarnej skórze spływał pot, słychać*

*było powolny obrót ziemi, skrzypienie*

*osi świata.*

Ale wróćmy do wcześniejszego wątku. Stwierdziliśmy, że poezja Netza mówi o człowieku i jego zwikłanej historii, o tworzonych przez niego systemach zniewolenia i przemocy. I o tym, że rozpoznawalną dykcją tej poezji jest jej niezwykła siła sugestii.

Czytając znakomitego, poruszającego „Chodasiewicza” – który otwiera *Krzyk sowy* – mamy wrażenie, wręcz pewność, że to my nim jesteśmy. Że to nasz los ewokuje wiersz, że to my podczas ucieczki z Rosji bolszewickiej wybraliśmy nie Zachód, lecz Polskę i że doświadczamy tragicznych konsekwencji tego wyboru. Że to my wreszcie miewamy takie koszmarne sny *śpiąc w arcy- / niewygodnej pozycji na wznak teraz i przez najbliższe / tysiąclecie we własnym, nie masowym grobie*.

Kontynuując ten tok myśli, spróbujmy odpowiedzieć na proste pytanie: dlaczego „Chodasiewicz” jest wierszem wybitnym? Z pewnością nie dlatego, że zgrabnie opowiada coś, co jest nam dobrze znane i co stanowi trwały element naszej zbiorowej pamięci. Byłaby to, zgoda, że udana, lecz tylko ilustracja. W przypadku „Chodasiewicza” mamy do czynienia z czymś nieporównanie głębszym. To nie opowieść (choć wiersz jest przejmującą narracją), to egzystencjalny, chciałoby się powiedzieć: szekspirowski dramat. To eksplozja niezwykłej precyzji języka i sugestywnej, oryginalnej wyobraźni, która nas wciąga, obejmuje w zaborczym uścisku i każe widzieć i czuć to, co widzi i czuje bohater wiersza. To ona sprawia, że bohaterem mógłby być każdy z nas. A jeśli uzupełnimy tę niepełną enumerację poetyckich walorów najczystszym, dalekim od sentymentalizmu liryzmem, imponującą potencją kreacyjną każdego użytego przez poetę słowa – uzyskamy odpowiedź na otwierające ten akapit pytanie.

Podobne wrażenie towarzyszy nam podczas lektury innych wierszy tomu, na przykład „Śmierci w Kutach”. To nie do Dołęgi-Mostowicza strzela sowiecki sołdat, lecz do nas, i to my giniemy na przedprożu upragnionej wolności, nie dobiegnąwszy do mostu na Czeremoszu.To my a nie Eugeniusz Bodo, zaprzeczając sobie, śpiewamy sowiecką wersję znanej piosenki „Tylko we Lwowie”, co zresztą w najmniejszym stopniu nie zmieni naszego/jego parszywego losu. To my leżymy *pokotem w błocie, we krwi / w papierowych workach, z krzyżykami / wyciętymi majchrem na zimnych czołach* („Śniła mi się Polska”). I to my, a nie bohater Andrzejewskiego-Wajdy zapalamy spirytus w kieliszkach, by uczcić w ten sposób męczeńską śmierć bohaterskiego pokolenia, zmiażdżonego w bezwzględnych, cynicznych trybach historii. To wreszcie w żyłach naszego ojca (a nie ojca autora) *płynęła krew / starej Germanii, krew gęsta jak wody / Renu uderzającej z furią o skałę, na której / siedzi die schönste Jungfrau, Lorelei*.

Przykłady można mnożyć. Przekonują one ponad wszelką wątpliwość, że Netz „nami pisze”, że każdy jego obraz wyrwany jest z naszego wnętrza, że sami przed sobą stawiamy lustra, w których oglądamy i przeżywamy nasz tragiczny los.

„Pisze nami” także w przejmujących wierszach „autobiograficznych”. Biorę ten przymiotnik w cudzysłów, bo traktują one nie tylko o skomplikowanych dziejach rodzinnych i związanych z nimi wyborach poety. Wiersze „Initium Silesiae”,

„Ulica kopalniana”, „Stalinogród, ulica 1 Maja”, „Stalinogród, ulica 3 Maja, czyli całe tysiąclecie”, „Niewłączone do Księgi Psalmów” czy „Chłopiec idzie do szkoły” są w równym stopniu wierszami o poecie, jak i o nas, o naszej wielkości i małości, o naszym heroizmie i moralnym upadku, o gryzącym nas sumieniu i potrzebie samooczyszczenia. Używając tytułu innego wiersza, powiedzieć możemy, że jest to nasza wspólna Droga Krzyżowa. Trzeba wielkiej odwagi moralnej i determinacji, by w świecie ponowoczesnej płynności napisać takie wiersze. A raczej: wyrwać je z siebie, z własnego wnętrza. Skąd ów imperatyw? W pewnej, może nawet znacznej mierze, choć nie tylko, wynika on zapewne z narastającej w każdym z nas świadomości, że – jakby powiedział Czesław Miłosz – oddalamy się powoli od jarmarku świata. Że w naszym życiu poczynają dominować (choć powinny zawsze) inne cele i miary. Pisze Netz w zakończeniu wiersza „Dwie śmierci”:

*w hollu mojego domu, tam gdzie zwykle*

*wieszam kurtkę i wełnianą czapkę, wiszą*

*dwie kosy, czasem słyszę jak w nocy jedno*

*ostrze lekko uderza o drugie,*

*jakby mówiły: śpij spokojnie,*

*jesteśmy,*

*czuwamy.*

Wtedy już naprawdę nie mamy wyboru. Poza godnością i prawdą nic się nie liczy. I o tym mówi ta niezwykła poezja, zdająca sprawę z *tutejszego istnienia*. Tutejszego, czyli usytuowanego na Górnym Śląsku, w Polsce i w Europie. A określając rzecz precyzyjniej: na tym najlepszym ze światów.

Mississauga, 2016

Pierwodruk: „Migotania-Gazeta Literacka” nr 1(50), 2016



Od lewej: Tadeusz Kijonka, Kazimierz Kutz. Feliks Netz, z tylu: Florian Śmieja i Stanisław Nicieja, fot. archiwum F. Śmiei.

---

# W wierszach myślę obrazami

**Irena Wyczółkowska, poetka, urodziła się 9 lutego 1941 roku w Warszawie, zmarła 3 maja 2015 roku w Opolu.**

**Ukończyła filologię polską, pracowała w wydawnictwie Uniwersytetu Opolskiego. Współpracowała z radiem Opole. Debiutowała w 1958 roku w „Odrze”. Wydała tomiki poetyckie: „Skóra węża” (1990), „Ptaszysko” (1991), „Balkon bez poręczy” (1993), „Gwar utajony” (1996), „Smocza samotność” (1997). Została wyróżniona Wojewódzką Nagrodą Artystyczną (1992) oraz Nagrodą Artystyczną im. M. Jodłowskiego (1993). Była członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.**



Irena Wyczółkowska, fot. Agencja Gazeta.

Tak, i ja należę do dalekich potomków wybitnego malarza.

Niestety, nie potrafię z całą precyzyjną dokładnością określić rodzaju pokrewieństwa. Z moich dociekań może wynikać, że Zdzisław Wyczółkowski, ojciec mego ojca (Andrzeja Jana) był bratem stryjecznym Leona. Ten sam herb – Ślepowron, te same okolice rodzinne. O ile wiem, Leon Wyczółkowski, który nie miał rodzeństwa (cała czwórka zmarła w dzieciństwie), posiadał liczne kuzynostwo i łączyła je z nim do końca życia serdeczna więź. Moi rodzice mieszkali w Warszawie, tam także, w 1935 roku wzięli ślub. Mama wspominała z żalem, że ojciec bardzo chciał ją przedstawić podziwianemu krewnemu, jednak z powodów, których nie pamiętała, odkładali termin tej ważnej wizyty – i los ją udaremnił: artysta zmarł kilka miesięcy później, w 1936 roku. W domu cioci Haliny (po mężu Kuleszowej) – siostry ojca – widziałam niewielki rysunek Leona Wyczółkowskiego z jego dedykacją. Był to widok małej altanki w ogrodzie. Cudem udało się cioci ocalić tę cenną pamiątkę z wojennej pożogi.

Mój ojciec, żołnierz AK, zginął w sierpniu 1944 roku w Powstaniu. Mamie przypadł los tysięcy warszawiaków – obóz w Pruszkowie, wywóz do Kielc, po wyzwoleniu powrót do spalonej Warszawy. W 1945 roku wraz z siostrą podjęła nie lada decyzję – do końca życia zastanawiała się, czy było to słuszne: wyjechała na tzw. Ziemie Odzyskane, do Otmuchowa koło Nysy. Potem przeniosła się do Opola. Kontakt z rodzeństwem ojca bardzo się rozluźnił. Wszyscy oni, poza wspomnianą ciocią Haliną, zmarli przedwcześnie, w latach 50. i 60. Dodam jeszcze, że wówczas

podróże były bardzo uciążliwe i odległość między Opolem a Warszawą była naprawdę większa niż obecnie! Dlatego o rodzinie ojca wiem niezbyt wiele, jedynie to, co usłyszałam od mamy, żyjącej niełatwą teraźniejszością i wyraźnie o wiele bardziej związanej ze swoimi krewnymi (Koralewskimi).

Mama szczególnie lubiła grafiki Wyczółkowskiego, zwłaszcza litografie przedstawiające drzewa. Reprodukcje tych dzieł wisiały na ścianach naszego mieszkania. Ilekroć odtwarzam w pamięci dom mojego dzieciństwa – widzę i te drzewa. Tak, są piękne, ale bardziej cenię malarstwo: co za niezwykła, przebogata różnorodność! Jakiś czas temu byłam w Krakowie na wielkiej wystawie twórczości tego malarza. Odkrywałam tam na nowo obrazy, które do tej pory, nie wiedzieć dlaczego, przyjmowałam dość chłodno. Jakże prześliczny jest obraz „Ujrzałem raz", co za umiejętność uchwycenia, z całą naturalnością, nastroju, emocji. Czas – ten Kronos pożerający własne dzieci – patrząc na obraz utrwalający ulotne chwile, pewnie ze złością zgrzyta zębami…I jeszcze jeden obraz, o ile wiem, przez krytykę wcale nie zaliczany do najświetniejszych dokonań artysty. Obraz chyba ostatni: „Wiosna. Wnętrze pracowni". Według oficjalnej wykładni najważniejszy jest tu odsunięty fotel – symbol nieobecności. A dla mnie to EPIFANIA: Półmrok – i otwarcie okna, uniesiona, fruwająca firanka, nagła jasność kwitnącego drzewa. Olśnienie – jak w wierszach haiku.

Niestety, w przeciwieństwie do szczęśliwców Pana Leszka i jego ojca Witolda Wyczółkowskich nie odziedziczyłam ani krzty talentu plastycznego! Ale malarstwo jest mi ogromnie bliskie. W wielu wierszach próbowałam nawet „przełożyć” kształt i kolor na słowa. I bardzo mnie kiedyś ucieszył osąd znanego krytyka literackiego, który stwierdził, że w swych wierszach „myślę obrazami”.

Joanna Sokołowska-Gwizdka (oprac.)



Szkic Leona Wyczółkowskiego, źrodło: www.wyczolkowski.pl

Irena Wyczółkowska

**Dobry Łotr**

(próba opisu XIV-wiecznego fresku z Miechocina)

Jeszcze zdąży zobaczyć, jak dusza opuszcza jego ciało.

To energiczna Osoba, jedynie przez chwilę

będzie ją miał na ramieniu, trochę się niepokoi,

bo rozpoczęła wędrówkę lewą nogą,

to przynosi pecha – jak dobrze pomyśleć,

że tylko na tym świecie!

Prawa noga duszy tkwi jeszcze w otwartych ustach Łotra,

jest ciemna, może to skaza fresku, a może nauka,

że póki dusza zanurzona w bolesnej krwi – nie może być czysta?

Mógłby ją zatrzymać, och, przygryźć choć na chwilę,

nie zrobi tego, patrzy na nią z dumą – jak ojciec,

który żył jak żył, lecz dziecku nie dał zginąć,

patrzy z dumą, bo udała mu się ta dusza, ma długie ręce,

dłonie podobne wiosłom, łatwo jej będzie rozumieć obłoki,

tak, ona sobie poradzi w dorosłym Życiu!

**Pejzaż z pawilonem**

**(chiński rysunek z XIV wieku)**

Góra? Raczej wzgórze

parę kresek jak niestaranne ściegi –

jakby rozdarte niebo

trzeba było naprędce pozszywać

Drzew zaledwie kilka

jedno uschnięte

tytułowy pawilon ledwie się trzyma ziemi

Jedyne co ważne to mięsiste frędzle

– pionowe rzędy liter u góry obrazu –

w każdej chwili mogą się zsunąć

stworzyć pejzaż

udawać deszcz lub żerdzie parkanu

bujna zieleń zza której podglądasz

tyle a tyle – nie więcej

Taką to rolę chciałby grac

Komentarz

(z tomiku „Wstęp do teorii jawy”)

**Patrząc na japońską rycinę**

Deszcz i wichura – trudno o lepszy pretekst

żeby się pośmiać z nieszczęścia symetrii:

wiatr ją rozdmuchał

Drzewa wbrew korzeniom

cienie ledwo za nimi nadążą

Troje ludzi wspina się pod górę

krnąbrne parasole – co za widok

jakby ślimak stawiał dęba

Tamci dwoje wracają w pośpiechu –

góra ze świstem chrzęstem

rysuje niebo

kołysząc się we wszystkie strony

(z tomiku „Wstęp do teorii jawy”)

**Tylko pędzel i tusz**

Ani Beskiej

Brat cesarza podejrzany o spisek –

lekkoduch, mniej znaczący niż puszysty piesek

u stóp nefrytowego tronu,

wszystko za sprawą intryg:

plotkujące kobiety, rzezańcy, urażony mandaryn.

Udaje mu się zbiec, w ostatniej chwili

ocala go przyjazny smok rzeki

niosąc szybciej niż zwykle wąski listek łodzi.

Teraz, na zapadłej prowincji, sprzedaje ryby,

na poplamionym kimonie łuski – srebrne

jak dachówki pałacu podczas pełni.

Nocą maluje. Nigdy przedtem tego nie robił –

tani pędzelek opowiada o koniu:

nie kiełznany, ze skrzydlatą grzywą,

mocniejszy od spiżu, od obłoków lżejszy,

pędzi na oślep – jak gniew, jak miłość.

(z tomiku „Wstęp do teorii jawy”)

# Polubiłem tę moją samotność. Piotr Guzy (1922 – 2018).



Od lewej: Florian Śmieja i Piotr Guzy, fot. archiwum F. Śmieji.

**Florian Śmieja**

Nie pamiętam już, kto mi w końcu przysłał adres Piotra Guzego. Napisałem do niego do Hiszpanii po zapoznaniu się z jego książkami: *Krótki żywot bohatera pozytywnego* i *Requiem dla pani Tosi*. Chociaż mieszkaliśmy w Anglii w tym samym czasie przez szereg lat, jakoś nasze drogi się nie zeszły.

W słowniku pisarzy wyczytałem, że urodził się w 1922 roku w Zawadzkiem na Opolszczyźnie, ale przeniósł się potem do Tarnowskich Gór, gdzie uczęszczał do tzw. Ćwiczeniówki, a następnie do Gimnazjum i Liceum im. księcia Jana Opolskiego. Był więc moim starszym kolegą szkolnym w dwu szkołach.

Odpowiedział na moją kwerendę niezwłocznie, ucieszony, że go ktoś ruszył z monotonnego życia eremity. Przypomniał sobie nazwiska naszych dawnych nauczycieli, które podałem w liście, w wypadku innych, już się trochę wahał. Solidaryzował się ze mną, kiedy pomstowałem na niezrozumiałą zmianę patrona naszej uczelni na Stanisława Staszica, skoro był on osobistością dla naszego regionu obcą, natomiast przedwojenny, książę Jan Opolski był postacią historyczną, wielce dla Śląska, a w tym dla Tarnowskich Gór, zasłużoną. *Dlaczego przekreślać tradycję*, obruszył się Guzy. Miało się okazać z dalszej korespondencji, że

wybraliśmy się razem na wycieczkę szkolną do Wilna i Pińska w 1936 roku i widniejemy na wspólnej fotografii przed Ostrą Bramą. Zdjęcie przedstawia grupę młodych ludzi, licealistów i uczniów gimnazjalnych, obojga płci. Dziewczęta, to Polki z Niemiec, dla których budowało się gimnazjum w Raciborzu, a które wówczas uczyły się w Tarnowskich Górach. Wśród nich była Ania Bożkówna, córka Arki Bożka, ówczesnego przywódcy Polaków w Niemczech, a w czasie owej podróży, moja opiekunka. Stojąca w środku pierwszego rzędu przewodniczka po Wilnie to poetka Zofia Bohdanowiczowa, która po wojnie osiadła w Toronto i tam zmarła. Z tej wyprawy zachowaliśmy kilka pamiętnych wrażeń: wycieczkę na statku „Pan Tadeusz” do Werek, a z Pińska na „Orle” do Horodyszczy.



Wilno 1936, pod Ostrą Bramą. Florian Smieja w pumpach w pierwszym rzędzie. Przewodniczka Zofia Bohdanowiczowa. Z tylu samotny Piotr Guzy. fot. arch. F. Śmieji.

W tym pierwszym liście Guzy opisał niedawne odwiedziny starych kątów w Polsce i westchnął przy tym, że kiedyś marzyło mu się, że będzie miał wieczór autorski w auli dawnej szkoły, ale potem pogodził się z myślą, że to się jednak nie stanie.

Na rynku w Tarnowskich Górach jest muzeum mieszczące się nad historyczną winiarnią Sedlaczka. W pięknej sali pod

renesansowym stropem odbywają się odczyty i spotkania. Na 22 października 1999 roku zaproszono Guzego. Powitał niespodziewaną okazję *jako wspaniałą, szczodrością losu sprowadzoną rekompensatę tamtego zawodu*. Impreza była nader udana, publiczność ogromnie dopisała, była sympatyczna, zjawiła się telewizja z Katowic, w prasie pojawiły się reportaże.

Kiedy gratulowałem sukcesu i zachęcałem do dalszych kontaktów z czytelnikami, Guzy usprawiedliwiał się posiadaniem zbyt małego dorobku, składającego się z czterech powieści, kilku opowiadań i fragmentów prozy. Ponieważ *Krótki życiorys bohatera pozytywnego* i *Stan wyjątkowy* ukazały się u Giedroycia w Paryżu, i tylko pojedyncze egzemplarze dotarły do Polski, a *Requiem dla pani Tosi* w Londynie, jedynie *Zwidy* wyszły w Polsce w 1994 roku w niskim nakładzie, faktycznie więc w Polsce Guzy jest autorem nieznanym.

Wznawiać takie książki? Guzy sądzi, że żaden wydawca się nie znajdzie, bo nikogo już sprawy w nich poruszane nie interesują, jako że mówią o doświadczeniach innych ludzi, którzy przeszli przez gehennę i też nie chcą już o niej czytać. Nie zapomniał też o niedobrych zwyczajach panujących w redakcjach, o braku choćby potwierdzenia otrzymania egzemplarza posłanego przez autora, nie mówiąc już o notatce czy wręcz recenzji.

Guzy po wojnie wrócił do Polski z żoną Angielką i synem.

Podczas kilkuletniego pobytu pracował w Poznaniu, wydał m.in. książkę *Nocny zrzut*. Tej publikacji nawet po tylu latach nie potrafi sobie wybaczyć, mimo że jest świadomy, że wielu polskich pisarzy ma również na sumieniu niechlubne teksty. Nie jest to jednak żadnym dla niego usprawiedliwieniem. *Prawdopodobnie na palcach dwóch rąk dałoby się policzyć tych piszących, którzy z tego doświadczenia wyszli bez plamy*, pisze. *Faktem jest jednak, że większość się wkrótce z tego zauroczenia ocknęła – ale jak dzisiaj, mając na uwadze, że to wszystko działo się 50 lat temu, wyjaśnić, że wtedy – co zabrzmi jak absurd, żeby się nie dać usidlić diabłu, często się wchodziło z nim w pakt. Ukąszenie heglowskie jest mitologią, był strach (vide Zwidy na wysokościach), ale kto lubi się do czegoś takiego przyznać, do swej ludzkiej-zwierzęcej małości, która odbiera człowiekowi poczucie własnej godności i niweluje go do poziomu zwijającej się pod butem dżdżownicy?*

Guzy ciągnie dalej: *Wtedy wybuchła tak zwana sprawa Bergu, wspaniały materiał na dreszczowiec. Napisałem na jej podstawie powieść pod tytułem „Nocny zrzut". To jest wredna książka, niegodziwa, judaszowska, podła. Gdy dziś o tym myślę, przychodzi mi do głowy jeszcze jeden przymiotnik: obrzydliwa. Ale to zrozumiałem dopiero później…*

Napisałem tę książkę. Ministerstwo Obrony Narodowej przyjęło ją do druku. Zanim jednak powzięto ostateczną decyzję, do

Poznania, gdzie wówczas mieszkałem, przyjechał redaktor z wydawnictwa, niejaki pan Koźniewski. Przez dwa dni po kilka godzin dziennie siedzieliśmy u niego w hotelu „Bazar", a pan Koźniewski, strona po stronie, linijka po linijce, układał ze mną, człowiekiem już zniewolonym, politycznie poprawny wydźwięk powieści. Pamiętam, jak w pewnej chwili na jakieś moje zastrzeżenie rzekł: „Proszę pana, my Hamletów nie potrzebujemy, albo się jest z nami, albo przeciwko nam".

Przez Berlin Wschodni udało się w końcu Guzemu zbiec z rodziną do Anglii. Pracował tam najpierw w BBC, a potem w Radiu Wolna Europa.

Ponad dwadzieścia lat temu Guzy osiadł na stałe w Hiszpanii, nad morzem pod Walencją. Tam zmarła jego żona i została pochowana na lokalnym cmentarzu. Żyje sam. Nie skarży się: *Polubiłem tę moją samotność, już nie potrafiłbym żyć w mieście*. W lecie plaża zaludnia się turystami. Stara się tym niemniej nie przerywać swojej rutyny, codziennego pisania, czekając na jesień, kiedy okolica się zupełnie wyludnia.

Mimo podeszłego wieku Guzy podjął się pisania dużej powieści zaplanowanej na trzy lata pracy. Będzie to saga kilku osób na przestrzeni całego dwudziestego wieku.

*Zdaję sobie sprawę, że to spory wysiłek, ale codziennie zasiadam*

*do pracy w pogodnym i optymistycznym nastroju, z wiarą w siebie i swoje możliwości, te dwa lub trzy lata przede mną mnie nie obezwładniają. Staram się codziennie napisać 500 słów, to są mniej więcej trzy bite strony bez dialogów, jeśli są dialogi, to tych stron jest więcej. W ten sposób dyscyplinuję samego siebie. Przy tak długim czasowo przedsięwzięciu dyscyplina jest absolutnie konieczna. Wstaję o siódmej rano, o ósmej już siedzę przy biurku, kończę gdzieś koło dwunastej, pierwszej, zależy. Popołudnie poświęcam na lekturę, słuchanie muzyki klasycznej, także spacery. Spać chodzę o jedenastej, niestety zażywam pigułkę nasenną*. I przy tym wszystkim Guzy wie, że pośpiech w pisaniu nie prowadzi do niczego dobrego, że wtedy pisze się naskórkiem. Tekst nie ma dna, brak mu wszelkiej metafizyki, jest suchy jak kość wybielona na słońcu.

Tymczasem w Tarnowskich Górach zainteresowano się pisarzem, który pisał o ich mieście. Młodzi zaczęli studiować jego twórczość, nawiązali z nim korespondencję, zapraszali w odwiedziny.

I powstał problem. Guzy zaangażował się w pisanie swojej ważnej książki bez reszty. Pisał do mnie: *Ta książka jest dla mnie dosłownie sprawą życia i śmierci, czuję taki ciągły wewnętrzny przymus: pisać! pisać! Nie poddawać się! Bo jeśli z takich czy innych powodów zaniecham dalszej pracy, to będzie to oznaczało, że przegrałem życie*.

Rozumiał, że takie odwiedziny równałyby się stracie sześciu tygodni czasu i 180 stron manuskryptu. Czy miał ryzykować, bo wiedział, że za rok już nie pojedzie. Radziłem, by zaproszenie przyjął. Pojechał w końcu na cały wrzesień 2004. Fetowano go w dawnej uczelni, zrobiono film, sprawiając że jego pobyt był interesujący i miły.

Sytuacja polityczna i społeczna Polski nim wstrząsnęła. *Ja myślę, że trzeba będzie przeczekać jedno pokolenie, cała ta scheda po komunizmie musi zniknąć, musi umrzeć, do polityki muszą wejść nowi ludzie, jeszcze nie znarowieni*. Biada nad losem języka polskiego, który się zmienia, by nadążyć za degrengoladą społeczeństwa. Dziwuje się nad znieczulaniem sumienia, kiedy mówi się o dyrektorach i ministrach, którzy „wyprowadzają" pieniądze z przedsiębiorstw, więc kradną, robią „przekręty". Nie ma nikogo, kto by nazwał zło złem, tzw. elity są na zastraszająco niskim poziomie moralnym. Powstały dwie Polski, jedna wirtualna, tych którzy zrabowali majątek narodowy i pławią się w luksusie oraz druga, biedna i przegrana. Nie bardzo widzi drogę wyjścia, bo państwo zostało tak zbudowane, że zostawiło miejsce na korupcję. Nazywa siebie jednak „niechętnym optymistą".

Po powrocie zabrał się do przerwanej pracy i narzucił sobie starą dyscyplinę. Ale nie wszystko poszło po jego myśli. Spotkał go zaszczyt: miasto Tarnowskie Góry nadało mu honorowe

obywatelstwo. Niestety, aktu nadania nie mógł osobiście odebrać, gdyż we wrześniu 2005 roku wracając do Hiszpanii tak nieszczęśliwie upadł, ze złamał nogę. Nastąpiły komplikacje, długi i bolesny okres rekonwalescencji, strata cennego czasu. Powieść musi znowu poczekać. Guzy chciałby się też jeszcze wybrać do Polski. Dopiero potem chce zabrać się za powieść.

Czekamy na zwycięstwo jego uporu.

---

**Piotr Guzy** przyszedł na świat 15 maja 1922 r. w Zawadzkiem (Śląsk Opolski). Uczęszczał do gimnazjum i liceum w Tarnowskich Górach, Brał udział w kampanii wrześniowej i był internowany w Rumunii. Stamtąd uciekł do Francji i wstąpił w szeregi wojska polskiego – służył w dywizji gen. Maczka. Po zakończeniu wojny studiował ekonomię polityczną i filozofię na Uniwersytecie w Londynie. W Anglii też założył rodzinę, ale wraz żoną i synem wrócił do kraju w 1949 r. Ukończył ekonomię na Uniwersytecie Poznańskim. W latach 1956-57 pracował w „Tygodniku Zachodnim". W 1957 r. jednak wyjechał z powrotem do Anglii (powodem były prześladowania przez służbę bezpieczeństwa. Pracował dla BBC oraz Radia Wolna Europa. Od 1979 r. mieszka w Hiszpanii Należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Kalina Beluch, www.granice.pl

*Artykuł ukazał się w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto, styczeń 2007 r.*

---

# Ten, który poprzez swoje wiersze uczył ludzi kochać.



Ksiądz Jan Twardowski, fot. Elżbieta Lempp, culture.pl

**Aleksandra Ziółkowska-Boehm**: *Co jest najważniejsze przy pisaniu wierszy? Jakie Ksiądz ma przesłanie dla młodych poetów?*

**Ksiądz Jan Twardowski:** Chciałbym im powiedzieć, aby pisali autentycznie, byli takimi, jacy są. Nie powinni niczego udawać, bo w pisaniu wszystko się obnaża. Można uniezależnić się od świata z zewnątrz, wznieść się ponad, i robić swoje. W poezji cenię właśnie autentyzm, aby nie było zakłamania.

**A.Z-B.:** *O czym – według Księdza – powinno się pisać? Jak dalece sięgać po własną biografię?*

**Ks.J.T.:** O własnym życiu można pisać wciąż, o dylematach, które się napotyka, o nie zatraceniu nadziei, o miłości i odpowiedzialności, o zdolności przebaczania. Anna Kamieńska powiedziała mi kiedyś: „…Droga – tym jest dla mnie poezja. Zwykła droga mojego życia. W poezji nie ma nic, jeśli nie ma biografii. W poezji musi być człowiek i jego przeżycia". Zgadzam się z nią. Jest masę własnych problemów do rozwiązania, i można je pokazać także w poezji.

**A.Z-B.:** *A co jest istotą Księdza wierszy?*

**Ks.J.T.:** Myślę, że moja poezja jest bez erudycji, wielkich słów, ornamentów, dominuje w niej prostota, zwięzłość i humor. Obce mi są retoryka, dydaktyka i patos.

**A.Z-B.:** *Znani są księża-poeci, wymieńmy kilku: Karol Wojtyła, Janusz Pasierb, Wacław Oszajca, Wiesław Niewęgłowski, Janusz Ihnatowicz, Eligiusz Dymowski. Wiersze księdza czytają dzieci, ludzie młodzi i starsi, wierzący i niewierzący…*

**Ks.J.T.:** Myślę, że poeta powinien być towarzyszem ludzi wierzących i niewierzących, i szukać tego, co łączy, nie tego, co dzieli.

**A.Z-B.:** *Czy ma Ksiądz swój ulubiony wiersz?*

**Ks.J.T.:** Lubię wszystkie swoje wiersze, kilka szczególnie, np. wiersz „Spotkanie”.

**A.Z-B.:** *Przypomnę fragment:*

„… Samotność łączy ciała a dusze cierpienie

Ta jedna chwila

Nie potrzeba więcej…”

*Jaką rolę spełnia poezja w Księdza rozumieniu?…*

**Ks.J.T.:** Istnieje ogólna potrzeba porozumienia się z drugim człowiekiem, i poezja może tę rolę spełnić. Ja w ogóle jestem małomówny, a w pisaniu chcę się dogadać z drugim człowiekiem. Gdy piszę wiersz, szukam przyjaciela, i często go znajduję. Można wierszem poznawać i siebie, i drugiego człowieka.

**A.Z-B.:** *Poeta Jan Śpiewak napisał już w latach 60., że nie zna współczesnego poety polskiego, który byłby tak dobry dla ludzi, jak właśnie ksiądz. Mówi, że księdza szybciej pokochali czytelnicy, niż wydawcy. Teraz wydawcy prześcigają się w wydawaniu księdza kolejnych tomików wierszy. Poezja księdza*

*trafia do wszystkich, niezależnie od wieku. Jak dalece cieszą księdza dowody okazywania sympatii, dobre recenzje, listy czytelników?*

**Ks.J.T.:** Zdaję sobie sprawę, że moje wiersze weszły pod strzechy i to mnie cieszy. Wzrusza mnie, że moje wiersze są dobrze przyjmowane, że ludzie piszą do mnie serdeczne słowa. Lubię dobre słowa na temat swoich wierszy, czytam je chętnie, wręcz z satysfakcją… Może karmię nimi własną próżność? Jestem wdzięczny każdemu, kto o mnie pisał.

**A.Z-B.:** *Anna Kamieńska napisała wiersz zadedykowany księdzu „Dom pod dobrą nowiną", gdzie między innymi:*

„…Kapłan dziecięcy karmi z ręki wiersze

co przylatują kiedy chcą jak szpaki…"

*Jak powstają księdza wiersze? Czy wiersze Księdza „przylatują kiedy chcą"?*

**Ks.J.T.:** Staram się pisać codziennie. Wiersze często same do mnie przychodzą. Czasami wystarczy jakby chwila i rodzi się pomysł, wtedy wiersz powstaje szybko, jakby od razu. A czasami wolno się pisze. Nie zawsze wiersze sypią się jak z rękawa, niektóre wymagają wielkiej pracy i czasu. Bywa, że muszę się

nad wierszem namęczyć. Moje życie miałoby inny charakter bez pisania. Chciałbym wciąż pisać, to jest moje zawsze żywe marzenie. Uświadamiam sobie, że wiele wierszy nie mam wciąż napisanych.

**A.Z-B.:** *Jakie uczucie Ksiądz szczególnie ceni? Co się liczy w życiu? Bibliofilsko wydany przez Książnicę Pomorską w Szczecinie (1997) tomik wierszy nosi tytuł „Nie bój się kochać” (cytat z wiersza pod tym tytułem: „a miłość daje to czego nie daje… więcej niż myślisz bo jest cała Stamtąd…”). Czy właśnie miłość…?*

**Ks.J.T.:** Z uczuć oczywiście zawsze ważna jest miłość, ale i przyjaźń. Miłość wypala się, czy też jakby się uspokaja. Uczucie miłości to nie tylko zakochanie. Dawanie i przyjmowanie w darze drugiego człowieka nie ma wiele wspólnego z erotyką. Ważne są uczucia serdeczności, przebaczanie. Kochać umie ten, kto umie przebaczać. Przyjaźń przetrwa życie. Są różne stopnie przyjaźni. Pisałem już o swoich przyjaźniach i wciąż o nich piszę – wiem, że ten temat się nie wyczerpie. Miałem piękną przyjaźń z Anną Kamieńską, jej poezja była wielką, egzystencjalną.

**A.Z-B.:** *Jest książka „Rozmowy pod modrzewiem, ks. Jan Twardowski opowiada, ks. Waldemar Wojdecki notuje” (IW PAX, Warszawa 1999). Ksiądz Wojdecki był kiedyś księdza uczniem, gdy w 1957 roku ksiądz uczył języka polskiego. W książce tej jest*

*wiele miejsca na temat przyjaciół Księdza, wielu z nich to ludzie twórczy. Których pisarzy i którą postać literacką Ksiądz szczególnie lubi i ceni?*

**Ks.J.T.:** Cenię Hansa Christiana Andersena, pisałem o nim. Cenię także twórczość skandynawskiej powieściopisarki Ingrid Undset. Chętnie sięgam także ogólnie mówiąc po literaturę hiszpańską.  Z postaci literackich lubię sienkiewiczowskiego Zagłobę.

**A.Z-B.:** *Księdza pierwszy niewielki zbiorek wierszy przedwojennych nosił tytuł „Powrót Andersena" (1937), dlaczego właśnie taki tytuł?*

**Ks.J.T.:** Andersenem zachwycałem się w okresie mojego dzieciństwa, znam wszystkie jego baśnie, na przykład bardzo lubię opowieść o brzydkim kaczątku. Wiedziałem, że pochodził z biednej rodziny. Andersen mówi wiele o cierpieniu, samotności i ludzkiej wierze, która łączy to, co trudne: pozorny bezsens życia z mądrością i dobrocią Boga. Gdyby nie jego wiara, Andersen widząc niesprawiedliwość, doszedłby do pesymizmu Kierkegaarda czy Sartre'a. Nie wiele pisze się o Andersenie – chrześcijaninie, nie mówi się o Andersena miłości do przyrody, a tymczasem uczy on, że szczęście można znaleźć wszędzie w rzeczach najprostszych – w żyjątkach, jak ślimak, łabędź,

ropucha, kaczątko, ale i w takich, jak krzesiwko, kufer, kalosze, pióro, nawet patyk.

**A.Z-B.:** *Podobnie jest w Księdza wierszach. Annie Bernat („Życie”, 10-12 kwietnia 2004) powiedział Ksiądz: ”W moich wierszach zawsze było dużo najzwyklejszych, bagatelizowanych często stworzeń i roślin. Pokrzywa jest jedną z nich, rośnie tak blisko ludzi.”.*

*Poezja Księdza jest także bliska dzieciom, z myślą o nich powstały takie tomiki, jak np. „Zeszyt w kratkę”, „Kasztan dla milionera”, „Patyki i patyczki”, „Kubek z jednym uchem”. Jak się pisze wiersze dla dzieci?*

**Ks.J.T.:** Wolę pisać dla dzieci niż dla dorosłych. Dzieci są wdzięcznymi czytelnikami, pamiętają o mnie, przyznały mi Order Uśmiechu. Literatura dla dzieci nie odchodzi, powraca w następnych pokoleniach.

Będąc przy temacie dziecka – według mnie Janusz Korczak – doktor Henryk Goldszmit, zwany powszechnie Starym Doktorem, był chyba jednym z najserdeczniejszych mędrców, którzy się pokłonili Dziecku.

**A.Z-B.:** *Janusz Korczak był także pisarzem dla dzieci, jako autor „Króla Maciusia Pierwszego”, „Maciusia na bezludnej wyspie”.*

*Kogo z polskich poetów czy pisarzy ceni Ksiądz szczególnie?*

**Ks.J.T.:** Z polskich poetów lubię Bolesława Leśmiana, z prozaików na przykład Wańkowicza. Cenię jego „Monte Cassino", i lubię „Ziele na kraterze". Tak Pani bliski Melchior Wańkowicz był mocno żywą postacią w polskiej rzeczywistości.

Przyjaźniłem się z poetami: Jerzym Andrzejewskim, Stanisławem Grochowiakiem, Jarosławem Iwaszkiewiczem, Januszem Pasierbem, Janem Śpiewakiem i wspominaną wcześniej Anną Kamieńską

Moja przyjaźń z Anną Kamieńską to był dar od Boga. Gdy Kamieńska zaczęła pisać wiersze religijne i prace o Biblii („Twarze Księgi", „Na progu słowa", „Księga nad Księgami", „Do źródeł – przyp. A.Z-B.) były to lata komunizmu i zaprzestano ją drukować w państwowych oficynach wydawniczych i zauważać jej twórczość. Do dzisiaj upraszcza się, gdy mówi się o Kamieńskiej jako o poetce katolickiej. Całość jej poezji odsłania dramat ludzkiej egzystencji, ale nie jest to widzenie katastroficzne.

**A.Z.-B.:** *Czy Ksiądz miał trudności w okresie komunizmu?*

**Ks.J.T.:** Opowiem Pani zdarzenie, o którym wcześniej mówiłem księdzu Wojdeckiemu. Jako młodego księdza ze Żbikowa zabrano

mnie do Urzędu Bezpieczeństwa, i zaczęto mi opowiadać… że nie ma Boga. Wtedy ja powiedziałem – Dowody nie są mi potrzebne – bo ja Boga widziałem… Zamilkli, jeden z ich wstał i powiedział:

– Ksiądz jest wolny. Wypuścili mnie i więcej nie wzywali.

Powiedziałem prawdę, bo ja mam wrażenie od zawsze, że Boga widzę.

**A.Z-B.:** *Kamieńska w swoim „Notatniku" nawiązuje do wspólnych z księdzem rozmów, wędrówek po cmentarzu Powązkowskim, kazań. Jest słynna fraza wiersza zadedykowanego Kamieńskiej, którą wszyscy znają, wszyscy rozpoznają: „Spieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą…".*

**Ks.J.T.:** Pisząc te słowa nie myślałem o śmierci, Kamieńska wtedy była zdrowa. Pisałem o odejściu, gdy ktoś inny staje się nam bliższym, z kolei inni zapominają o nas. W mojej przyjaźni z Kamieńską nastąpił okres, gdy coś się oddaliło. Ale tak bywa z przyjaźnią, przybiera różne barwy. Nie można jej utrzymać – i dzięki Bogu – w tej samej tonacji.

Kamieńska odpowiedziała mi wierszem „Puste miejsca", którego początek brzmi:

„Nikogo nie zdążyłam

Kochać

Choć się tak spieszyłam,

Jakbym musiała kochać

Tylko puste miejsca…”

**A.Z-B.:** *Ponownie przywołam słowa, które Ksiądz powiedział Annie Bernat: „Dochodzi do rozstań, bo właśnie się spóźniliśmy z okazywaniem uczuć, nie daliśmy odczuć bliskiej osobie jak jest ważna i wyjątkowa”.*

*Swoje wiersze dedykował ksiądz nie tylko Annie Kamieńskiej, ale i Aleksandrze Iwanowskiej, Barbarze Arsobie, Zbigniewowi Herbertowi. Niektórzy poeci dedykowali księdzu wiersze, jak np. Agata Tuszyńska.*

*Andrzej Sulikowski napisał, że, “Jeśli wiersze ks. Jana czytać w skrytości, w dniach opuszczenia i depresji, okaże się, że wyjdziemy stamtąd inni: wewnętrznie wzmocnieni. Wyrozumiali dla bliźnich, łagodni dla siebie. Gdy dusza znajduje pokrzepienie, to wszystkie klęski zewnętrzne marnieją, odmładza się nawet ciało (jak mówią psalmy). (posłowie do:  Nie bój się kochać, Książnica Pomorska 1997)*

*W wierszach Księdza pełno gołębi, kruków, gęsi, psów. Pełno roślin, trawy, drzew i pełno różnych żuków i chrząszczy. Te wiersze są szczególnie bardzo zapamiętywane. Jak bardzo ksiądz obcuje z przyrodą?*

**Ks.J.T.:** Od dawna czytuję książki przyrodnicze, zbieram zielniki. Przyroda jest mi bardzo bliska, nie koniecznie musi być dostojna czy wspaniała. Lubię na przykład widok ze swojego okna – na modrzew. Jest on rozłożysty, nie pnie się do nieba, ale skromnie rozkłada gałęzie, daje cień, aby pod nim można było odpocząć.

Zatrzymując się przy cytacie Sulikowskiego, cieszę się, że moje wiersze mogą kogoś pocieszyć. To duża sprawa.

**A.Z-B.:** *Jak Ksiądz patrzy z odległości swojego mieszkania w starej Kapelanii przy Krakowskim Przedmieściu w kościele sióstr wizytek w Warszawie na… Amerykę?*

**Ks.J.T.:** Gdy byłem dzieckiem i małym chłopcem – imponowali mi Indianie. Potem Ameryka kojarzyła się z dobrobytem, dobrze było mieć wujka czy ciocię w Ameryce. Byłem w Stanach na stypendium Jurzykowskiego i uświadomiłem sobie, jaki to wielki i skomplikowany kraj.

To stypendium zawdzięczałem Zbigniewowi Herbertowi. Kiedy przyjechał do Lasek przedstawiciel Fundacji tej nagrody i pytał

Herberta, komu należałoby ją przyznać, ten wysunął moją kandydaturę. Przyjechałem na dwa tygodnie do Stanów Zjednoczonych i miałem spotkania z Polonią amerykańską.

**A.Z-B.:** *Ksiądz jest stale związany z Warszawą. Tutaj urodzony (1 czerwca 1915 roku), tutaj była nauka w gimnazjum im. Taduesza Czackiego i gazetce gimnazjalnej „Kuźnia Młodych" miał miejsce Księdza debiut poetycki i prozatorski. Studia polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim przerwane wojną (skończone w 1947 roku). W czasie wojny był Ksiądz żołnierzem Armii Krajowej, uczestniczył w Powstaniu Warszawskim. W 1947 roku nauka na pierwszym tajnym, Seminarium Duchownym w Warszawie, święcenia kapłańskie w 1948 roku. W 1959 roku objął Ksiądz stanowisko rektora kościoła Sióstr Wizytek przy Krakowskim Przedmieściu i mieszka tu do dzisiaj. W niewielkim mieszkaniu w drewnianej Kapelanii odwiedza Księdza wiele osób, jest ono wypełnione pamiątkami, darami. To miejsce jest niemal rodzinnym miejscem Księdza.*

**Ks.J.T.:** Mój dom rodzinny przy ulicy Elektoralnej spłonął w czasie Powstania. Jeszcze chcę dodać, że Jako wikariusz, zaraz po wyświeceniu, pracowałem w Żbikowie nie tak daleko od Warszawy, blisko Pruszkowa. Poza zajęciami w Kościele, uczyłem w dwóch szkołach, jedna była dla Dzieci Specjalnej Troski. Kontakty z dziećmi upośledzonymi umysłowo utrzymuję do dnia dzisiejszego. Napisałem dla nich wiersz („Do moich uczniów"

–A.Z-B.). W Żbikowie moim pierwszym proboszczem był kanonik Franciszek Dyżewski, który dużo mówił o Matce Boskiej Częstochowskiej, której był czcicielem. Organizował piesze pielgrzymki do Częstochowy. Mam kolekcję obrazów Maryjnych, jak i wiele innych cennych pamiątek. Od Pani dostałem namalowany na szkle obraz Matki Boskiej indiańskiej ze szkoły indiańskiej św. Józefa w Chamberlain w Południowej Dakocie. Madonna ma rysy indiańskie. Jakże jest wzruszający, trzymam go w oknie swojej sypialni. Wiele tych zgromadzonych pamiątek przypomina mi odeszłych już na zawsze przyjaciół.

**A.Z.-B.:** *Niektórych zaprzyjaźnionych z Księdzem ludzi już wspomnieliśmy w tym wywiadzie, w książce „Rozmowy pod modrzewiem" wspomina ksiądz jeszcze innych, na przykład przyjaciela Warszawy i kolekcjonera Stanisława Szenica, profesora Wacława Borowego, u którego pisał Ksiądz prace magisterską na temat Juliusza Słowackiego, Księży: Janusza Pasierba, Jerzy Wolffa, Jana Zieję. W tym przypominaniu o nich jakby wciąż żyją, jakby śmierć ich całkiem nie zabrała.*

**Ks.J.T.:** Prawdą jest, że nieobecni są z nami najbliżej, ale po śmierci człowieka zawsze pozostaje żal, że za mało się okazywało wdzięczności…

Żal, że się za mało kochało

Że się myślało o sobie

Że się już nie zdążyło

Że było za późno…

**A.Z-B.:** *W wierszach Księdza jest także swoiste umiłowanie swojego wyboru życiowego, swojego powołania.*

**Ks.J.T.:** Kapłaństwo to wielka łaska. W moim życiu cieszę się, że żyłem w okresie pomyślnym dla Kościoła, w czasie Soboru Watykańskiego II, który ogromnie rozszerzył spojrzenie na Kościół. I że byłem świadkiem upadku komunizmu, który wydawał się tak potężny. Mówiono, że upadnie na skutek wielkiej wojny, a on rozleciał się jak domek z kart. Byłem także świadkiem wielkich pontyfikatów: Jana XXIII, Pawła VI, Jana Pawła II. Uważam, że miałem szczęśliwe kapłaństwo.

**A.Z-B.:** *Jak Ksiądz chciałby, by zatytułować nasz wywiad?*

**Ks.J.T.:** Nie lubię słów: poezja i poeta – jest jakieś zadęcie w tych słowach. Wolę, by o mnie mówiono: ten, który pisze wiersze. Ja składam, układam wiersze. Na przykład: Ten, który poprzez swoje wiersze uczy ludzi kochać… Taki tytuł by mi się podobał.

---

*Rozmowy z księdzem Janem Twardowskim odbyły się w październiku – listopadzie 2003 i w czerwcu – lipcu 2004 w Warszawie.*

*Wywiad ukazał się w języku angielskim w „The Polish Review”, New York, Nr 4, 2004 i po polsku we wrocławskiej „Odrze”, 2005 oraz w „Liście oceanicznym” styczeń 2006.*